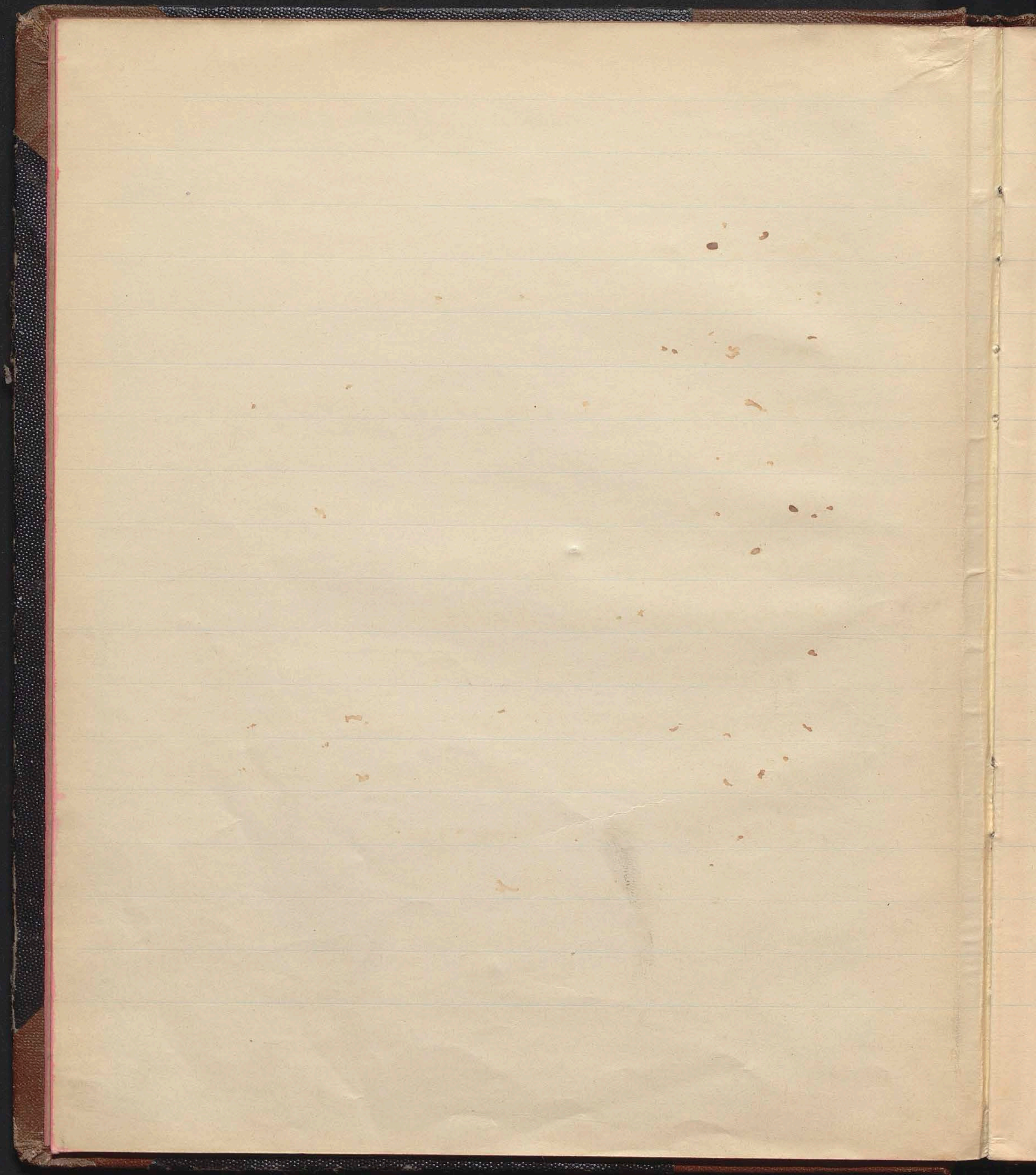
7754
II

7754
II
Rkp. 7754.

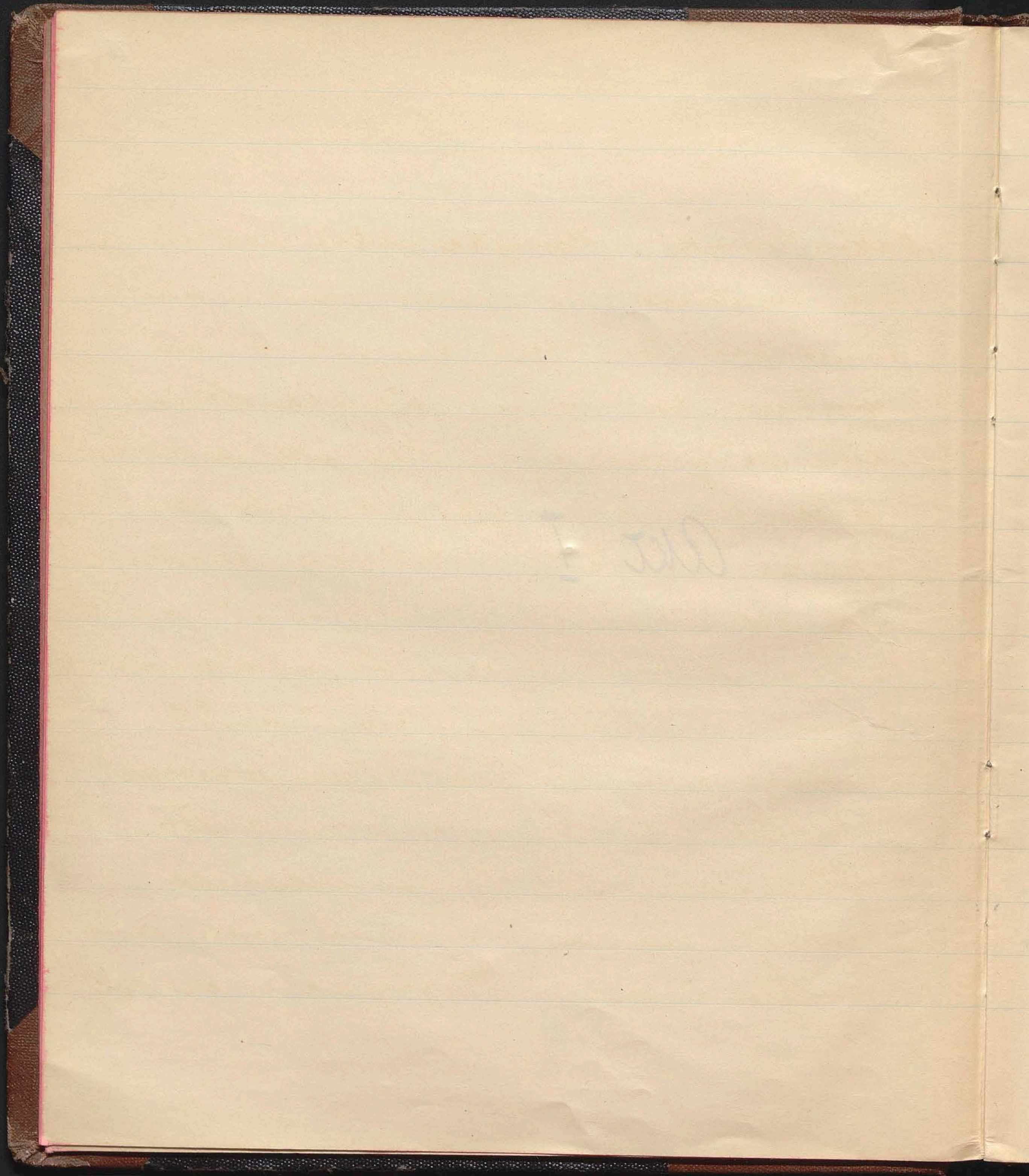
OFIARY



Pani Żakierska
Alfred jej syn stud agronomii
Pani Żarska
Zofia jej córka narzeczona Alfreda
Morski
Henryka jego córka stud filz
Władysława jej przyjaciółka " "
doktór Artur Belski
Jarzecowska stud filz
Mieczysław Pilski stud prawa
Stanisławowa obsługaczka lat 50
Dwie panie z towarzystwa
„Głodnych Dzieci”



Akt I



Pokój Henryki. Henryka siedzi na otomanie, chusteczkę ma w ręku; znać, że przed chwilą płakała. Blada, zamyślona, nie spostrzega jak w drzwiach stanęła Stanisławowa, która patrzy chwilę na Henrykę, a potem pyta się nie śmiało: Panienko, czy podać herbatę? — Henryka spostrzega ją, wstaje z otomany i odpowiada prędko: Tak, proszę przynieść! — Stanisławowa wychodzi. Henryka idzie do półki z książkami, wybiera jedną, przegina kilka kartek, czyta przy piecu. Stanisławowa przynosi szklankę herbaty, stawia na stole, poprawia serwetę i na widoczny zamiar nie

odejść odrazu.

Stanisławowa: Panienka to tylko płacze. Kiedy wejdę do pokoju to panienka ciągle obciera oczy i płacze. Nieszkoda to też!

Henryka: Głowa mnie boli, wreszcą czuję się niezdrową.

Stan: (znacząco) A tak, niezdrowa.

Henr: Dostałam wczoraj list z domu. Ojciec jest chory.

Stan: Hm! Ojciec chory, głowa boli, to smutne rzeczy, ale ja panienko już stara jestem i mogę miarkować co panience dolega.

Henryka: Naprzykład?

Stani: Panienka sama przecież wie (słychać dzwonek) ale muszę zobaczyć kto przyszedł.

(Stanisława wychodzi)

1. Wład: Szkoda. X zajmująco wykładał.
Jutro przychodzisz?
Hen: Nie wiem jeszcze. Może...

Henryka (zmieszana) Czy ona naprawdę domyśla się?

Scena II

Wchodzi Władysława

Wład: Dzień dobry Henryko. Czy Ci przeszkadzam?

Hen: Wcale nie! Dobrze, że przyszłaś. Zimno na dworze, jesteś zziębnięta. Zdejm żakiet, napijesz się herbaty ze mną.

Wład: Owszem.

Henryka idzie do drzwi otwiera je i woła: Stanisławowa, proszę podać drugą szklankę herbaty.

Wład: Dlaczego nie byłaś dzisiaj na wykładach?

Hen: Czuję się słabą, nie mogłam przyjść. Wogóle mam zamiar przestać uczęszczać na uniwersytet.

Wład: (zdziwiona) Przestać uczęszczać?
Hen: Tak! Przestać zupełnie uczęszczać.
Wład: Nie rozumie cię Henryko. Teraz kiedy masz jeszcze rok studyów przed sobą?
Hen: Może zrozumiesz mię za długo.
(Stanisławowa przynosi szklankę herbaty)
Stanisławowa: Czy jeszcze jestem potrzebną?
Hen: Dziękuje (Stanisławowa odchodzi)
(siadają obie do stołu)
Wład: Wydajesz mi się być zmienioną. Jesteś chorą?
Hen: — Tak! Powiedzmy, że
Wład: I dlatego nie byłaś dzisiaj na wykładach?
Hen: Tak!
Wład: To jeszcze nie powód! A jak będziesz zdrowszą?

1) ~~Taka, przyjaciółką w całem tego słowa znaczeniu.~~

Hen: O, to tak prędko nie nastąpi.

Wład: Henryko, co Tobie jest?

Henryka (milczy)

Wład: ~~Jestem przecież Twoją przyjaciółką,~~ czemu (nie mówisz?) ~~Masz~~ tajemnice przede mną?

Hen: ~~Nie wszystko można mówić.~~

Wład: Przyjacielowi można wszystko powiedzieć.

Hen: (cicho powtarza) Przyjacielowi można wszystko powiedzieć. (Wstaje od stołu, przechodzi kilka razy pokój, potem staje przed Władysławą, patrzy się na nią przenikliwie, następnie pyta: Władziu, powiedz mi, jesteś Ty moją przyjaciółką?

Wład: Tak!

Henryka: A jak ja przed Tobą wyspowiadam się, jeżeli otworzę Ci duszę moją, jeżeli Ci opowiem wszystkie moje tajemnice

jak dowiesz się, że popełniłam czyn, który społeczeństwo dzisiejsze potępi i, że gdy się o mnie dowiedzą ci, którzy dzisiaj ze mną żyją, to opuszczą mnie i przestaną mnie znać, czy Ty wtedy nadal zostaniesz moją przyjaciółką?

Wład: Wtedy tem bardziej. Jeżeli Ty zostaniesz opuszczoną ja zostanę przy Tobie.

Henryka: (obejmuje ją) Kochana Władziu. (Stoją tak chwilę nagle Henryka wybucha gwałtownym płaczem)

Wład: Heniu co Tobie jest? Teraz także mi nie powiesz? — Powiedz mi.

Hen: O, to tak trudno! Nikomu nie zwierzałam się jeszcze. Przyzwyczaiłam się największe bóle moralne przecierpieć. Cierpię już dawno, a nikt o tem nie wie! I po co mówić? Czy kto obcy potrafi

współczuć albo zrozumieć? A jeżeli udaje,
że współczuwa to odgrywa ~~tylko~~ nędzną
komedyę uczuć. I po co powierzać mu
tajemnice, które powinny zostać
nadal tajemnicami?

Wład: Mnie możesz je powierzyć! ~~Henryko,~~
~~rok przeszło żyjemy razem. Czy my~~
się nie rozumiemy?

Hen: ~~O tak! Rozumiemy się.~~

Wład: Pamiętasz ten dzień kiedyśmy się
poznały? Jakaś dziwna siła pchała
mnie do ciebie aby cię poznać, a
potem kiedy po godzinnej rozmowie
rozstawałyśmy się byłyśmy już
przyjaciółkami. I od tego czasu
jesteśmy razem. Czy przez ten
cały czas choć raz było między

zmienić

~~mami najmniejsze nieporozumienie?~~

Hen: ~~Nie mógły.~~

Wład: ~~Czy teraz będziesz się krępować?~~

Powiedz mi wszystko, mów otwarcie.

Hen: Mówić otwarcie. Choćby to ci powiem.

(Prowadzi ją do otomany – siadają. Henryka milczy)

Wład: A więc słucham.

Hen: A więc słuchaj. Stosunek mój z Alfredem nie jest ci obcem – do pewnego stopnia.

Wład: Do pewnego stopnia? Wiem, że go kochasz i on ciebie kocha.

Hen: Tak! Ja go kocham. Ale to nie wszystko. Miłość to niebezpieczna rzecz, z nią igrać nie można. Ja o tem nie wiedziałam pierwej. Teraz się dowiedziałam

i to jest tem smutniejsze. — Przed rokiem poznałam go. Jego mowa, inteligencya, wykształcenie imponowały mi. Trudno było opierać się uczuciom jakie zawładnęły moim sercem. Czułam i wiedziałam, że go kocham.

Z początku miewaliśmy schadzki; chodziliśmy na spacery razem. To trwało przeszło pół roku. W tym czasie wyznaliśmy sobie naszą miłość. Raz przyszedł do mnie tu do pokoju. Siedzieliśmy, tak, jak my teraz. Opowiadał mi o wielu rzeczach. Był smutny. Ach, żebyś ty wiedziała jak on wtedy pięknie mówił. Objął mnie

swoim ramieniem, tulił mię, pieścił, całował.. Oparłam głowę moją na jego piersiach, zamknęłam oczy - słuchałam co mówi. Byłam szczęśliwą. Po paru godzinach poszedł. Jakaś dziwna, straszna, nieokreślona tęsknota ogarnęła moje serce. Zdawało mi się, że mi piersi rozsadzi. Zaczęłam płakać - czułam się samotną. Chciałam go mieć ciągle przy sobie. Jego co raz częstszym wizytom u mnie nie stawiałam przeszkody. Przychodził kiedy chciał, a jeżeli mnie nie zastał w domu to czekał. Cieszyłam się z tego. Moim wymaganiom, moim pragnieniom stało

się zabość. Był prawie ciągle przy mnie... (pauza) I to jest właśnie początek wszystkiego złego. (urywa)

Wład: Czemu przerywasz? Mów dalej.

Henr: Raz przyszedł wieczorem. Był bardzo zdenerwowany. Chodził po pokoju, chciał coś mówić - widocznie sprawiało mu to trudność. Ja siedziałam na otomanie i patrzałam co z tego wyniknie. On siadł przy mnie. Mówił mi o miłości, o pragnieniach czegoś, o szczęściu. Pieścił mnie, całował moje włosy, oczy, usta, szyję, piersi... Byłam oszołomiona. On prosił, błagał, przysięgał swoją miłość - (zakrywa sobie twarz rękami) uległam... -

on mnie wtedy posiadł. A dziś czuję
w sobie zarodek tego dziecięcia
miłości i grzechu.

Wład: (wstaje z otomany, przechadza się po pokoju. po chwili) Straszne! — Dawno już temu?

Hen: Blizko trzy miesiące.

Wład: Czemu mi tego pierwej nie powiedziałaś?

Hen: Niewiem! — Z początku nie zdawałam sobie sprawy z tego co się stało. Zdawało mi się, że to był sen tylko. Ale dzisiaj... (po chwili) Teraz Władziu pożegnajmy się, podaj mi rękę i odejdź spokojnie. Nie rób sobie żadnych skrupułów. Wiem, że obcowanie ze mną teraz, może cię tylko kompromitować.

Odejdź! Tak jak Ty odejdziesz, odejdą wszyscy. Jestem na to przygotowana.

Wład: (Płacze)

Hen: O co płaczesz?

Wład: Henia! Zrobiłaś mi taką przykrość. Czy mnie traktujesz tak jak tych wszystkich innych? Jestem taką jak oni? Nie! Ja Ciebie nie opuszczę. (zamyśla się, po chwili) Henia Ty potrzebujesz teraz opieki. Pozwól mi mieszkać razem z Tobą.

Hen: (z ~~dziwieniem~~) Ty chcesz ze mną mieszkać?

Wład: Tak!

Hen: (obejmuje ją) Władziu, moja, kochana, droga, jedyna. ~~Więc Ty mnie nie~~

~~opuścisz?~~

Wład: Ciebie opuścić? Nie, nigdy! Będę z Tobą mieszkała, będę notowała wykłady, będziemy się razem uczyły. Nie stracisz mnie. Zdamy razem kolokwia. Dobrze tak będzie?

Hen: Dziękuję Ci serdecznie. Dobrze, że będziemy razem mieszkały. Mnie jest bardzo potrzebne towarzystwo. W nocy ogarnia mnie straszny lęk. Boję się! Czego? - nie wiem. Ach te noce! Żebyś Ty wiedziała z jaką trwogą je oczekuję. Boję się sama spać. Całą noc siedzę na łóżku, a to takie męczące, takie okropnie męczące..

Wład: Uspokój się. Będziemy teraz razem.

Będziesz się jeszcze bała?

Hen: Nie!

Wład: A czego ty się boisz?

Hen: Boję się moich myśli. Moje myśli przerażają mnie. Doprowadzają mnie do rozpaczy. Zdaje mi się, że... (urywa)

Wład: Że co?

Hen: Nic! Nic! Nic! Nie pytaj się o to!

Wład: Henryko! Znowu tajemnice?

Hen: Nie! Żadne tajemnice tylko...
(Słychać dzwonek u drzwi)
To on! Władziu co teraz zrobić?
Powiedzieć mu wszystko?

Wład (zdziwiony) On o tem nie wie?

Hen: Nic mu nie mówiłam.

Wład: Sądzę, że powinien się dowiedzieć.

(Wchodzi Alfred)

Alfred: Dzień dobry Henryczko! Jak się masz?

Hen: Dziękuję, dobrze.

Alf: (pieszczotliwie) A czemuś Ty płakała?

Hen: Ja? Zdaje ci się.

Alf: (rozbierając płaszcz) Już dwa dni Cię nie widziałem. (spostrzega Władysławę) A i pani tutaj. Nie spodziewałem się panią spotkać

Wład: Dlaczego?

Alf: Nie przypuszczałem, że pani do Henryki chodzi

Wład: ~~Dla~~ O! Nas łączy nawet serdeczna przyjaźń.

Alf: Tak?

Wład: A tutaj bywam dość często.

Alf: W takim razie proszę mi powiedzieć, czy spostrzegła pani, że Henryka od



jakiegoś czasu bardzo posmutniała.

Wład: Naprawdę? Nie zauważyłam tego.

Alf: Ależ tak! Zawsze smutna. Coś jej dolega i nie chce powiedzieć. A teraz? czy ona nie jest zapłakana?

Wład: Nie! Jestem tutaj już dość długo, a przez ten czas rozmawiałyśmy o rzeczach obojętnych zupełnie wesoło.

Henr: Zapewniam cię Alfredzie, że rozmawiałyśmy zupełnie wesoło.

Alf: To dziwne! Masz taki smutny wyraz twarzy.

Hen: Zdaje ci się.

Alf: (do Władysławy, która zbiera się do wyjścia) Pani odchodzi?

Wład: Tak! Mam jeszcze wiele do załatwienia w mieście. Wieczorem

wstąpić jeszcze do Heni. (żegna się z Henryką)
Serwus Heniu. — Dowidzenia panu.
Alf: Dowidzenia. Przykro mi, że pani
już nas opuszcza.
Wład: Mnie później, ale sprawy są
naglące. Dowidzenia. (wychodzi)
Alf: (staje przed Henryką) Heniu tyś płakała!
Powiedz o co?
Hen: Nie płakałam
Alf: Dlaczego zapierasz się?
Hen: Nie wierzysz mi?
Alf: Muszę wierzyć. Przypuśćmy.
Hen: Gdzie byłeś?
Alf: Idę z domu.
Hen: Prawdopodobnie była u was twoja
narzeczona. Jak się bawiłeś
w jej towarzystwie? Co prawda jest

bardzo ładną panną.

Alf: Nie ładniejszą od ciebie.

Hen: Jeżeli jeszcze nie jest to będzie. Zaczynam już brzydnąć.

Alf: Co to znaczy już brzydnąć?

Hen: Nic! Źle wyglądam, twarz mi się zmienia.

Alf: Pojedziesz na wakacye do domu, będziesz lepiej wyglądała. Powrócisz jeszcze ładniejszą. Świeże powietrze...

Hen: Mnie nie trzeba świeżego powietrza. Do domu nie pojadę.

Alf: Dlaczego?

Hen: Nie mogę.

Alf: Powiedz dlaczego nie chcesz jechać?

Hen: Nie pojadę i... koniec o tem.

Alf: Jesteś zawsze kapryśna, jak dziecko.

Hen: Ciekawam dlaczego?

Alf: (siada obok niej) Nigdy nie odpowiadasz na moje pytania. Czy nie możesz mi powiedzieć co cię skłania do pozostania tutaj w mieście, zamiast czas spędzić na wsi, co może o wiele korzystniej wpłynąć na Twoje zdrowie? Odpowiesz teraz?

Hen: (milczy)

Alf: Widzisz! To są Twoje kaprysy.

Hen: Nigdy ich nie miałam i nie mam.

Alf: Nie masz? Zaraz cię przekonam. — Naprzykład mam teraz jakieś życzenie i tylko Ty możesz temu zadość uczynić.

Hen: Czego sobie życzysz ode mnie?

Alf (wesoło) Pocałuj mnie!

Hen: Nie chcę.

Alf: Widzisz. Teraz nie chcesz. A pierwej... dawniej... tak całowałaś... Pamiętasz?

Hen: Dawniej tak, teraz już nie mogę.

Alf: (poważnie) Henryko Ty mnie już nie kochasz
Prawda?

Hen: Tak jak Ty mnie.

Alf: Więc kochasz mnie.

Hen: Czemu Ty okłamujesz sam siebie.

Alf: Nie okłamuję!

Hen: A narzeczoną?

Alf: Nie kocham.

Hen: Ale się z nią ożenisz!

Alf: Nic nie można wiedzieć. A chociażby to i nastąpiło, Ty wiesz dobrze, że nie z miłości. — Ale po co mówić o niej. Mówmy o sobie.

Hen: O nas mówić możnaby bardzo wiele. O Tobie, o mnie.

Alf: Widzisz jest temat. ~~Mów mi o sobie.~~

Hen: (Nie mogę powiedzieć Ci nic ciekawego,

Nie zbyt przyjemny

a tem bardziej nie vesołego.

Alf: Naprzykład, co możesz poviedzieć smutnego?

Hen: Smutnego? O viele, viele! Ani się spodziewasz.

Alf: Zaciekawiasz mię!

Hen: Mogę poviedzieć to, że życie moje jest zupełnie złamane.

Alf: Twoje życie złamane? ~~Ale~~ po co ta tragedya? Bądź vesoły!

Hen: Nie mogę! Jak się komu życie łamie to ten ktoś nie może mówić vesoło.

Alf: Tak! To pravda.

Hen: A zatem zgadzasz się na tym punkcie ze mną. Ale zmieńmy temat. Czytałam viele razy, iż celem kobiety jest macierzyństwo. Że jeżeli kobieta jest matką, czuje się szczęśliwą i svoje dziecko kocha, że to dziecko zajmuje

przeważnie jej myśli, ona stara się je wychowywać...

Alf: No tak! Ponieważ ja nie jestem kobietą i nigdy nie zostanę matką, nie mogę w tej kwestji żadnego zabierać głosu.

Hen: Masz słuszność. Ale przecież będziesz ojcem. Czy kwestja wychowania Twojego dziecka nigdy Cię zajmować nie będzie?

Alf: To pozostawię mojej żonie. Ona jako kobieta lepiej potrafi...

Hen: A jeżeli żona Twoje dziecko wychowywać będzie źle, albo wcale o to starać się nie będzie, to co wtedy?

Alf: Na razie nie wiem. Nie jestem jeszcze żonaty, ~~i nie zostaję ojcem.~~ ani w podobnem położeniu.

1) Że to były sny, ~~ss~~ cudne sny o miłości, które nas rozkosznie pieszczą, przeminają i pozostaje tylko wspomnienie o nich?
2) Czy powiem teraz po co ta tragedya?
Już ją mam!

Hen (cicho) Kto wie?

Alf: Pytanie to dziwnym powiedziałaś głosem i wogóle ono nie jest na miejscu użytem.

Hen: Tak? Czy Ty sądzisz, że te miesiące razem przeżyte, żadnych za sobą skutków pociągnąć nie mogą? 1)

Alf (z powagą) Nigdy się nad tem nie zastanawiałem.

Hen: A ja się nad tem zastanawiałam. A teraz wiem, że...

Alf (prędko - niespokojnie) Że co? Mów!

Hen: Że zostaję właśnie matką.

Alf (zrywa się wstrząśnięty) Henryko co mówisz? Czy jesteś pewną tego?

Hen: Tak niestety, jestem zupełnie pewną.. 2)

Alf: Co za nieszczęście. Teraz już rozumiem ciebie. Dlatego nie pojedziesz do domu.

1) Czyż byłem się mógł na oczy pokazać rodzicom, moim młodszym siostrom? I czy sądzisz że oni by mnie do domu przyjęli?

2) Na mnie spadają teraz obowiązki o których honor ~~napomnieć~~ przypominać będzie

Hen: Tak! Pojmiesz, że w takim stanie do domu jechać nie mogę. 1)

Alf: (Idzie do niej, klęka, głowę kładzie na jej kolanach) Henryko, ja Tobie życie złamałem. Henryko!

Hen: Nie rozpaczaj. To co się stanie unieszczęśliwi tylko mnie. Tobie to nie szkodzić nie może. Tyś przecież mężczyzna. A mężczyźni tak często unieszczęśliwiają kobiety, a tak rzadko o tem pamiętają. Prawie, że nigdy.

Alf: Ja nie chcę być takim ~~jak wszyscy mężczyźni~~ [o jakim ty mówisz], ~~ja~~ chcę ~~chcę~~ być innym. Ja o Tobie zapomnieć nie mogę. Mnie nie wolno o Tobie zapomnieć. 2) Co Ty poczniesz teraz. Co się z Tobą stanie?

1) Ta myśl, że cię unieszczęśliwiłem zabija mnie.

Hen: Nie wiem. Nie myślałam jeszcze o tem.

Al: Ty sobie może nie zdajesz wogóle sprawy z tego co się ~~wogóle~~ stało?

Hen: Wiem bardzo dobrze. Czuję to.

Al: (chodzi bezradny po pokoju) To jest straszne, to jest okropne.

Hen: Uspokój się!

Al: Ah, to trudno – trudno. I to wszystko przezemnie, wszystko przezemnie!

Hen: Taką samą winę ponoszę i ja.

Al: O nie. Ja jestem mężczyzną. Ja powinienem być rozważniejszy, rozsądniejszy. Gdybym, wtedy, pamiętasz ten wieczór, poprzestał na całowaniu ciebie, na rozmowie, dzisiaj czulibyśmy się tak szczęśliwi. O losy są bardzo srogie.

1) Przeżyłam z tobą kilka miesięcy w jakimś dziwnem, błogiem upojeniu. To był szał, szał który nami owładnął, to było picie rozkoszy bez upamiętania się, bez zdania sobie sprawy co dalej będzie. A teraz jak jakaś mara stanął przed nami fakt już dokonany, który nas przeraża Trudno stało się! Może tak stać się miało.

2) Może dawniej... Dzisiaj naprawdę już nie.

Hen: Czy nie możesz nawet być szczęśliwym:
Twoja narzeczona kocha cię, a Ty
ją także kochasz. Pobierzcie się. –
Ja ci przeszkadzać w tem nie będę.
Wtedy nie będziesz szczęśliwym?

Alf: O nie! Henryko, moje sumienie
nie da mi spokoju, moje su-
mienie ciągle będzie mi przypo-
minało tą zbrodnię, którą popeł-
niłem. Ja Tobie życie złamałem.
Henryko, przebacz mi, Henryko.

Hen: Ja Tobie nic do przebaczenia nie
mam.[1] ~~Co się stało, stać się miało.~~

Alf: Tylko nie wierz w przeznaczenia.

Hen: Ja powoli w wszystko wierzyć przestaję.
A przecie, wiesz, nie łudzę się nadzieją,
że Ty mnie ~~nie~~ kochasz. 2)

1) Trudno, że prawda przykrość ci sprawia. Czasem nie chciało by się jej słyszeć.

2) Minął już dawno .. i niepowrotnie.

Alf: Henryko, po co tak mówisz? Temu sprawiasz mi tylko przykrość.

Hen: Mówię to, co widzę i co jest prawdą.[1]

Alf: Więc w miłość moją nie wierzysz?

Hen: Całkiem! Już się z tą myślą pogodziłam, że Ty nie dla mnie jesteś i mężem moim nie będziesz. A to co było to był sen, sen...[2]

Alf: Jak bardzo nieszczęśliwi jesteśmy obaje. (spacerując po pokoju) Co to będzie. — Co to będzie?

Hen: Nie martw się. Postaram się, żeby wszystko jak najlepszy obrót wzięło.

Alf: (Co zrobisz?) Najlepszy obrót? — ?

Hen: Dowiesz się nie rychło. — Teraz idź już. Muszę być sama teraz. Idź Alfredzie.

Alf: Odpychasz mnie od siebie? Chcesz się mnie [ni] pozbyć?

1) ~~I-y pisi~~. Pozostaw mnie mojim myślą,
Chcę być teraz sama ... sama. I-y pisi

2) a nie martw się bo ...
alf: Bo co?
Hen: Pisi nic, nic.

Hen: Nie. Ja cię tylko o to proszę.[1]

Alf: Jeżeli tego żądasz – idę. Ale myśl o Tobie nie opuści mnie ani na chwilę.

Hen: Bądź spokojnym. Nie myśl o tem. Po co? Stanie się lepiej, jeżeli będziesz się martwić?

Alf. (już ubrany) Dobra noc ci droga. (Henryka podaje mu rękę, którą on całuje, potem całuje ją w usta) Dobra noc (wychodzi)

Hen (stoi kilka sekund, nagle biegnie szybko do drzwi i woła: Alfred.

Alf: (wraca) Chciałaś mi jeszcze co powiedzieć?

Hen (stoi chwilę zakłopotana, nagle rzuca mu ręce na szyję, całuje go w usta, długo, namiętnie, przeciągle, odrywa się potem od niego i mówi: Idź już; idź Alfredzie.[2]

Alfred wychodzi. Henryka idzie do stołu do nalewa do szklanki wodę, ze szafki bierze pudełko z którego wyjmuje pastylkę i i wrzuca do szklanki)
Ta jedna pastylka sublimatu może mu wrócić jego szczęście. (siada do biurka)
Muszę zostawić list – a powód? – nieuleczalna choroba. (pisze – wstaje, idzie do stołu, bierze szklankę, podnosi ją do ust, zamyśla się i stawia ją napowrót.)
Nie! Mnie wolno popełnić samobójstwo, ale mnie nie wolno popełnić zbrodni.

akt II

Pokój u pani Żarskiej. Pani Żarska siedzi przy stole, w ręku ma robótkę. Zofia siedzi opodal, głowę ma podpartą ręką, przed nią leży otwarta książka. Jest zamyślona.

Pani Żarska: Zamiast tak siedzieć bezczynnie pomogłabyś mi naprawiać bieliznę.

Zofia: (przytomniejąc) Co mamo?

P. Żar: Mówiłam, że mogłabyś mi co pomóc jeżeli nie czytasz.

Zof: Czytam mamo. (czyta chwilę)

Mamo, która godzina?

P. Żar: Po szóstej.

Zof: On już powinien dawno tutaj być. Może już idzie? (Idzie do okna. Opiera głowę o szyby.) Śnieg pada. Wszystko białe.

P. Żar: Czytaj lepiej, a nie wyglądaj przez okno.

1) Jeszcze się kto zobaczy, a potem będą plotki, że swojego narzeczonego cały dzień przy oknie wyczekuję.

To nawet nie wypada dobrze wychowa-
nej pannie.[1]

Zof: Co tam wypada, a nie wypada.
Ja na to nie zważam. Taka ety-
kieta i kręporanie własnego „ja" było
dobre w przeszłości. Dzisiaj, my
ludzie postępowi musimy się
pozbyć wielu przesądów. Każdemu
powinno robić tak, jak mu
jest najwygodniej.

P. Zar: Co ty przez to myślisz?

Zof: Naprzykład, jak ja chcę iść do
okna, to dlaczego nie mam
być przy oknie. Albo patrz mamo,
śnieg tak ładnie prószy. Ja
bardzo lubię chodzić w tedy jak
śnieg pada. Teraz ja bym się

1) Sprawiłabym sobie tem przyjemność i byłoby to z pożytkiem dla zdrowia. Cały dzień dzisiejszy w domu siedzę.

ubrała i poszła się przejść. 1)

P. Żar: Ależ to nie wypada. Już ciemno jest.

Zof: Widzi mama, znowu etykieta. To ciąży na nas jak łańcuchy niewolnicze. Dlaczego wypada mężczyznom chodzić samym po ulicy, a pannie nie? Albo mężczyzna może sam iść do teatru albo na koncert, a panienka tylko ze starszą opieką? To jest jeszcze zabytek przeszłości.

P. Żar: Wszystko co jest dawne, jest lepsze od dzisiejszego. Dzisiejsze wychowanie bardzo się różni od tego jakie otrzymałam w domu. Te nowe prądy, manię kształcenia się u kobiet, to nic dobrego.

Zof: Ależ to uprzedzenia ze strony

1) Już najwyższy czas by świat się otrząsł
z grozy białej pieśni grabarzów.

mamy. Mama musi to zrozumieć, że oświata postępując naprzód zmienia ludzi.[1] Teraz już wiemo Naszego, jeżeli się spotka pannę chodzącą na uniwersytet mówi się: Ta to chodzi na uniwersytet. Akade-micz-ka. Czy jest w tem co złego?

P. Żar: Pewnie! Chodzi to rok, albo dwa, niby się uczy, a naprawdę to włóczy się ze swojemi kolegami akademikami po kawiarniach, a potem raczy wybrać sobie jakie uczciwe zajęcie to (robi pogardliwy ruch ręką) nie mówmy lepiej o tem.

Zof: Mama ma złe wyobrażenie o kobietach kształcących się. We Francyi

i w Niemczech kobiety są profesorkami na uniwersytetach. Czy stanowisko to nie zaszczytne i użyteczne? A prze-cież one same później uczyły się na akademiach.

P. Żar: Coś o tem słyszałam. Ale ile ich jest? Będzie na całym świecie dziesięć?

Zof: Jest ich teraz mało – ale są. Możemy mieć nadzieję, że za lat kilka będzie ich znacznie więcej. Ja sama chciałabym być taką profesorką, wykładać z katedry...

P. Żon: (gniewnie) Co? Tybyś chciała być profe-sorką? Ty miałabyś chodzić na uniwersytet, tak jak te wszystkie? Nie! Na to ja nie pozwolę. Dość sobie wyrzutów robiłam, że pozwoliłam

1) Zaczekaj! Jak ci ~~się~~ jedno będzie wołało „papu", a drugie...
Zof: E mamo! Zawsze to samo!

na uczęszczania do gimnazyum.
Panny nie potrzebują wielkiej nauki;
a to co już umiesz, to Ci musi wystarczyć.

Zof. A jeżeli mi to nie wystarcza?

P. Żar: To Ci musi wystarczyć. Zresztą
teraz inne życie Cię czeka, inne
obowiązki mieć będziesz. Już
Ci uniwersytet z góry wyrzeczesz!

Wchodzi służąca: Pan doktór Belski przyszedł.

P. Żar: Poproś. (Służąca wychodzi)

Zof: Jak to dobrze, że przyszedł (idzie na
przeciw niego.)

P. Żar: Zosiu to nie wypada. Siądź przy
stole.

Zof: Znowu nie wypada! Ręce na stole
położyć czy założyć?

(Wchodzi dr Belski – wita się z p. Żarską) Całuje

rączki pani dobrodziejce.

P. Żar: Bardzo się cieszymy z tego, że pan doktór o nas nie zapomniał.

Dr Bel: To byłoby mi bardzo trudno. (do Zosi) Pannie Zosi dobry wieczór.

Zof: Dobry wieczór panu.

Dr Bel: (siada przy stole) Będąc w przedpokoju słyszałem głośną rozmowę. O ile z niedyskretnego podsłuchania sądzić mogę rozchodziło się o uniwersytet.

Zof: Tak, ma pan słuszność. Bardzo dobrze się stało, że pan przyszedł w porę. Stanie pan teraz w mojej obronie. Jak się pan zapatruje na kwestyę kształcenia się kobiet. Jesteś pan temu przeciwny?

Dr Bel: Przeciwny – nie.

Zof: A zatem?

Dr Bel: Owszem, niech się kobiety kształcą.
Pomagają przez to ludzkości do szybszego kroku cywilizacyi. Ale żeby to było bardzo dobrze – to nie powiem.

Zof: Dlaczego?

Dr Bel: Dlatego, bo gdyby kobiety kształciły się tylko dla własnego wykształcenia to byłoby dobrze. Ponieważ one studyują przeważnie fachowo pogarszają przez to byt ekonomiczny i społeczny.

Zof: Co pan przez to rozumie?

Dr Bel: Rozumie przez to dwie rzeczy.
Po pierwsze co do samej nauki.
Wczesne wstawanie, siedzenie w dusznej klasie szkolnej, uczenie się pojmować

stanu zdrowia nie polepszają owszem pogarszają go, co u panienek bardzo się odbija w przyszłym życiu. Dość spojrzeć na młodzież uczącą się pod koniec roku szkolnego. Wszystko blade o twarzach dręczonych. Chłopcy do szkół chodzić muszą. Ale panienki? Czy nie wystarczy kilka klas wydziałowych, a potem edukacya w domu? Nauka języków i muzyki?

Zof: Nie zawsze.

Dr Bel: Niech pani pozwoli. Panny chodzą do gimnazyum. Po zdaniu matury idą przeważnie za mąż. I na co im nauka? Czy są lepszemi żonami od tych panien, które

do gimnazyum nie chodziły?
Wcale nie! Pokazuje się, że są
złemi gospodyniami. A to jest
łatwo wytłómaczalne. Wtedy gdy
inne panny pozostawały w domu
i uczyły się gospodarstwa, one
w szkole uczyły się gramatyki ła-
cińskiej, uczyły się deklinacyi,
poznawały w matematyce sinusy
i cosinusy, uczyły się logiki,
a owocem ich logicznego
myślenia jest to, że później
jako samodzielne gospodynie
najskromniejszego obiadu ugotować
nie potrafią.

P. Zar: Zosia na gospodarstwie zna się.
Wyręcza mnie w zupełności.

Dr Bel: Więcej panna Zosia będzie z tego miała korzyści niż z wiadomości w jaki sposób oblicza się wysokość gwiazd.

Zof: Prawdę mówiąc zapomniałam w jaki sposób się robi.

Dr Bel: Kiedy pani zdała maturę?

Zof: Przed wakacyami. Będzie już blizko pół roku.

Dr Bel: Widzi pani, zaledwie pół roku, a już takie braki wiadomości okazuje pani w matematyce. Jeżelibyśmy teraz zaczęli trochę o fizykę, historyę, chemię, i.t.d. to by się pokazało, jak wiele pani zapomniała. Zaledwie pół roku. I na co się zdała cała nauka? Ja pani powiem. Aby się

nazywało, że panna Zofia Żarska ukończyła gimnazyum i zdała maturę.

P. Żar: Z odznaczeniem panie doktorze.

Dr Bel: A tak! Panna Żarska zdała maturę z odznaczeniem. To jeszcze ładniej.

Zof: Ja na takie rzeczy nie zważam.

Dr Bel: Słusznie pani robi.

(Słychać za sceną brzęk tłuczonego szkła)

P. Żar: Ona znowu coś rozbiła w kuchni. To już nie do wytrzymania. Muszę iść zobaczyć. (Wstaje od stołu.) Przepraszam bardzo. (Wychodzi)

Zof: Niech się tylko mama nie irytuje.

Dr Bel: Pani bardzo się troszczy o zdrowie swojej mamusi. Tak robi każda kochająca córeczka.

[1]) również wiele uznania.

Zof: A ponieważ ja mamę bardzo kocham, nie powinno to pana wcale dziwić.

Dr Bel: To mnie nie dziwi. Owszem - tylko bardzo cieszy.

Zof: Dlaczego to pana tak znowu bardzo cieszy?

Dr Bel: Zdaje mi się, że kto tak kocha swoich najbliższych, może i innych później kochać. Będzie miał dla innych, tych dalszych[1]

Zof: Na przykład kogo mogę ja później kochać.

Dr Bel: Męża - w przyszłości

Zof: Bezsprzecznie.

Dr Bel: Z tego wniosek, że kochająca córka jest także kochającą żoną.

Zof: Zgrabnie to pan wywnioskował.

Dr Bel: Tak jest proszę pani. A kochająca żona jest szczęściem mężczyzny

1) Nic łatwiejszego jak stukać, zwłaszcza, że w naszem mieście tyle automatów, takich niemiłych!

Zof (ironicznie) Nie pan, panie doktorze,
na miejscu pana będąc, poszukałabym
sobie takiego szczęścia w postaci kobiecej.[1])

Dr Bel: A ja też już dawno znalazłem. Niestety,
widzę je w rękach innego.

Zof: O to pan biedny. Musi się pan postarać,
aby było w pańskich rękach.

Dr Bel: To trudno. Nie zależy to ode mnie...

Zof: Tylko?

Dr Bel: Tylko od pani.

Zof: (zdziwiona) O-de-mnie? Czy jestem osobą
wpływową w tym wypadku? Sądzę, że nie, —
pomimo, że zostałam matką z odznaczeniem.
Ale niech się pan jaśniej tłumaczy.

Dr Bel: Jaśniej tłumaczyć. — Panno Zofio!
Powinna się pani domyśleć, że wizyty
paniom składane mają dla mnie

Poza tem, jako tak dobry i dawny znajomy
uważany zawsze za najserdeczniejszego
przyjaciela...

jakiś cel.

Zof: No tak. Pan doktór leczy moją mamę zatem bywanie u nas jest zupełnie wytłumaczone.[1]

Dr Bel: Nie, nie miałem tego na myśli. Pani nie chce mnie zrozumieć.

Zof: Pojęłam tak jak już powiedziałam.

Dr Bel: Oprócz leczenia mamy, ja mam jeszcze inny cel dla, którego tutaj przychodzę.

Zof. Nie wiedziałam o tem. A jaki jest ten drugi cel?

Dr Bel: Aby być choć chwilę w towarzystwie pani.

Zof: Czy to panu sprawia taką przyjemność?

Dr Bel: Większą, niż pani sobie wyobrazić może. Gdy jestem w towarzystwie pani tęsknota moja opuszcza mnie

1) Zof: Szkoda, że nie mamy karty do nowej ~~zabawy~~ gry. Zabawilibyśmy się w flirta. Znam to pani?

Br Bel: Pani ze mnie żartuje. Sądzi pani że to co powiedziałem...

Zof: Jest banalnym frazesem.

Br Bel: Nie pani. Pani się myli. Towarzystwo pani jest mi konieczne. Do mnie uspakaja, pozwala znowu myśleć jaśniej;

2) To wtedy piersi rozpiera jakaś straszna niemoc, jakiś stłamiony jęk cierpiącej duszy, wtedy myśli rwące się, powarzone, okropne, rodzą się jedna po drugiej...

~~Ah panno Zofio~~! Stan taki doprowadzić może tylko do szaleństwa.

w tedy. I przez to mniej cierpię. 1)

Zof: A jak pan nie jesteś w moim towarzystwie?

Dr Bel: To wtedy tęsknię, bardzo, bardzo, panno Zofio. 2)

Zof: To dziwne.

Bel: O wcale nie. Za osobami, które się kocha tęskni się.

Zof: Ta osoba, którą pan kocha kto jest?

Dr Bel: Kobieta

Zof: To może taka kochająca córeczka, a w przyszłości kochająca żona?

Dr Bel: Możliwe

Zof: Może pan bliżej określić tę kobietę? Wie pan jak ona się nazywa?

Dr Bel: Wiem panno Zosiu.

Zof: A pan ją bardzo kocha?

Dr Bel: Gdybym powiedział, że ją kocham byłoby to za słabe określenie.

1) Pani zrozumi mnie, Wysłuchaj. Tą kobietą jesteś Ty. Ty jesteś tem marzeniem o którem mowa, Ty jesteś moją przyszłością.

Ja ją ubóstwiam. Ja żyję myślą o niej, ja żyję marzeniami przyszłości.[1]

Zof: Jaki pan zakochany. A ona kocha pana?

Dr Bel: Nie wiem tego. O, gdyby ona mnie kochała, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem. Ale ona...

Zof: Może kocha?

Dr Bel: Co pani powiedziała? Ona mnie kocha?

Zof: Pan mnie źle zrozumiał. Tego nie twierdzę. Ja jej nie znam. Może pan wymienić jej imię — nazwisko?

Dr Bel: Mogę.

Zof: Proszę bardzo.

Bel: Nazywa się Zofia Żarska.

Zof: Panie Doktorze! Ja nie lubię

jeżeli kto stara się ze mnie drwić,
lub żartować, słowem bawić się
moim kosztem.

Dr Bel (bierze ją za ręce) Panno Zofio, niech
pani mnie zrozumie. Ja panią
kocham. Ja cię kocham Zosiu.
(klęka przed nią) Uszczęśliwij mnie,
zostań moją żoną.

Zof: (przestr.) Panie Doktorze. Co za komedya,
niech pan wstanie. Gdyby teraz kto wszedł.
Niech pan wstanie. Mówmy poważnie.

Dr Bel (wstaje) Dobrze! Mówmy poważnie.
Wszystko to co powiedziałem, mówiłem
poważnie. Kocham panią i marzę
o tem, aby ją poślubić.

Zof: To nie możebne.

Dr Bel: Dlaczego?

Zof: Jestem narzeczoną Alfreda.

Dr Bel: Tak to prawda. Zaręczyn oficyalnych jeszcze nie było, a o waszym stosunku prócz kilku bliższych znajomych nikt nie wie. Gdyby pani nie wyszła za niego?

Zof: Nie! Tego nie zrobię.

Dr Bel: Niech pani rozważy. Jestem młody i na stanowisku. Mój tytuł doktora daje mi możność utrzymania siebie i ewentualnie mojej przyszłej żony. A Alfred? Ma jeszcze przeszło dwa lata do ukończenia studyów. I po ukończeniu agronomii jaki byt mieć będzie? Będzie zarządcą w jakichś posiadłościach. Czy pensya jego wystarczy na wspólne życie

z panią? Na życie spokojne bez trosk i zapewnionym bytem? Nie! Natomiast ja mam wszystko. Dochody moje są znaczne. Ze mną żyjąc panno Zofio, miałabyś mnie – męża kochającego i życie pełne wesołości.

Zof: Życie takie byłoby dla mnie życiem udręczeń, a nie wesołości. Czy ja pana nie kochając, nie znajdując w nim tego przyjaciela-kochanka mogłabym być szczęśliwą? Nigdy! Niech pan teraz rozważy. Czy dając mnie takie życie pan mnie uszczęśliwia? Prawda, że nie! A zatem, pan mnie kochając i pragnąc dla mnie szczęścia chciałbyś pan mnie unieszczęśliwić?

Dr Bel: Nie! Pragnę tylko pani szczęścia.

1) Dr Bel: Że będzie pani rozsądniejszą.
~~[illegible]~~ Prawda, że decydować [illegible] w tym wypadku tak nagle nie można. Mówi pani, że mnie nie kocha i pożycie ze mną byłoby męką. A czy sądzi pani, że w małżeństwach, które skojarzyła miłość trwa ona zawsze? Że ona nie wygasa już po pierwszych latach i zamienia się tylko na ~~[illegible]~~ zwykłe przywiązanie?
Zof: Ja zgadzam się z tem, a gdy małżeństwo otrzeźwieje i te pierwsze lata to co pięknego zostanie?
Dr Bel: Może się ono później wytłomaczyć.
Zof: Lepiej od niej zacząć niż ~~skończyć~~ zakończyć od nie przywiązania.
Dr Bel: Pewnie... pewnie... I w tem także racya. Ale trudno. Przypuszczałem

Pani szczęście jest moim szczęściem. Sądziłem, że...

Zof: Że co, panie doktorze? 1)

Dr Bel: Że to inaczej się skończy.

Zof. A ja nie przypuszczałam, że coś podobnego, jak ta scena przed chwilą, kiedykolwiek między nami zajdzie. (1)

Dr Bel: Tak, tak. Człowiek wiele rzeczy nie przypuszcza, a czasem zostajemy zaskoczeni tak nagle...

Zof: Do wszystkiego musimy się przyzwyczaić.

Dr Bel (zakłopotany) Panno Zofio! Proszę mi przebaczyć... To całe zajście dla pani musiało być wielce przykrem... ale pani musi mnie zrozumieć. Ja panią kocham już dawno. Chciałem pani powiedzieć

tylko o moich uczuciach, o planach...
o marzeniach, które niestety zostaną
dla mnie tylko marzeniami.
Spodziewałem się inną odpowiedź usły-
szeć z ust pani... no – ale trudno.

Zof: Czy pan myślał, że ja pana kocham?

Dr Bel: O tem nie myślałem. Zdawało mi się, że jestem dla pani choć trochę sympatyczniejszy. – Teraz mam małą prośbę do pani.

Zof: Jaką?

Dr Bel: Niech pani będzie tak dobrą i jak do swojego oddanego przyjaciela, zupełnie szczerze odpowie. Czy pani kocha Alfreda?

Zof: Tak!

1) Dr Bel: A gdyby tak nie było?

Zof: Nie mam najmniejszego powodu przypuszczać,
że ~~aby~~ tak nie ~~[illegible]~~ ~~było~~ jest.

Dr Bel: Jesteś pani zupełnie tego pewną?

Zof: Tak! ~~Zup~~ Zupełnie. V

dr Bel: A pożycie z nim będzie takiem
o jakiem pani marzyła?

Zof: O ile Alfred zdołał pozostanie takim,
jakim jest obecnie, życie moje
przyszłe będzie tem wymarzonem

dr Bel: A jakim on ma zdołać pozostać?

Zof: Tak idealnym jakim jest. Ja
wierzę i jestem przekonaną, że
on mnie kocha, a inne kobiety
jeżeli nie wcale to przynajmniej
bardzo mało go obchodzą. 1)

dr Bel: ~~Tak, tak,~~ Człowiek wiele rzeczy nie
przypuszcza, a zawsze zostajemy
zaskoczeni tak nagle... że

Zof: Co to ma znaczyć panie doktorze?
Już trzeci raz pan to zdanie
powtarza!

1) i nie mam zamiaru życia mojego poświęcić z państwem,

Dr Bel: Ma ~~wielkie~~ (to już swoje) znaczenie. Teraz nie mogę je pani wytłumaczyć. Przy sposobności powtórzę je jeszcze raz, a wtedy może pani zrozumie co myślę. (Wyjmuje zegarek) Mnie już czas odejść. Przykro mi jest, że idąc tutaj byłem najlepszej myśli, a teraz opuszczam panią obrażoną i cośkolwiek może nieprzyjaźnie dla mnie usposobioną. Prawda panno Zofio?

Zof: Myli się pan. Gdybym nie wybrała pana jako ideał mojego serca!) o tyle uważam pana za serdecznego i dobrze mi życzącego człowieka. I mniemam, że się nie omyliłam.

Dr Bel: Tak, pani się nie omyliła.

cieszy mnie, że nie zostałem zupełnie odepchnięty, a proszę jeżeli pani będzie potrzebowała jakiejkolwiek rady przyjacielskiej aby się do mnie z całem zaufaniem udała. (słychać dzwonek u drzwi) Ktoś przyszedł – czy mi się zdawało?

Zof: To Alfred.

Dr Bel: Nie wypada mi teraz odejść. Muszę pozostać jeszcze chwilę.

(Alfred wchodzi razem z panią Zarską do pokoju.)

P. Zar: (do Alfreda) Nie uwierzysz jak Zosia cię niecierpliwie oczekiwała.

Alf: Naprawdę? Bardzo mnie to cieszy.

Zof: Dlaczego przyszedłeś tak późno?

Alf: Wybacz. Wracam dopiero z wykładu. (zmieszany) Tak teraz późno się kończą.

nam prawda, jeszcze nie przywitaliśmy

się.

Zof (podaje mu rękę) Dobry wieczór. Coś jesteś

bardzo zdenerwowany. Zapominasz

przywitać się.

dr Bel: ironicznie To wina tych późnych wykładów.

Alf (spostrzega go) Dobry wieczór panu. Mam

mi pan wybaczy, że dopiero teraz...

dr Bel: Nic nie szkodzi.

Alf: (zamyślony staje z boku) Tak, tak – nic nie

szkodzi. Wiele rzeczy zdaje się nic

nie szkodzą, a przecież...

dr Bel: Hm pewnie. Jako lekarz mogę

o tem najlepiej mieć pojęcie.

Alf: No tak! Pan więcej z teoryi ja mogę

mieć z praktyki.

dr Bel: Pewnie – pewnie – różnie bywa.

1) A wcale o tem nie wiedziałem, że mam chorą narzeczoną.

(wstaje) Ale ja państwa pożegnam.
Mam jeszcze kilka wizyt u chorych.

Alf: (ironicznie) A kogo pan tutaj leczył panie doktorze?

Dr Bel: Chciałem leczyć pannę Zofię póki jeszcze jest czas.

Alf: Jak? A co pannie Zofii brakuje?!

Dr Bel: Narazie mało. W przyszłości może być gorzej. (do pani Żarskiej) Całuję rączki pani dobrodziejce. (do Zofii) Panno Zofio moje uszanowanie. (do Alfreda) dobranoc panu.

Alf (nie podaje ręki - zimno) Żegnam pana.

Pani Żarska: Proszę znowu do nas kiedy zajrzeć.

Dr Bel: Jest przysłowie: Gdzie cię lubią bywaj rzadko, a gdzie całkiem nie lubią (patrząc na Zosię) to nigdy nie przychodź.

Zof: Także miał pan sposobność zastosowania tego wielce filozoficznego przysłowia.

Dr Del: To tak przy sposobności. (Wychodzi Pani Żarska i Zosia odprowadzają go.

Alfred (sam – chodzi po pokoju, jest bardzo niespokojny. Staje. Ręką opiera na czole i mówi z wymuszonym uśmiechem) Od kochanki przyjść wprost do narzeczonej to wcale romantyczne. Jak w jakiej powieści. Gdyby to co zaszło, nie było tak ~~[illegible]~~ tragicznem. Ha! ha! ha! – Co teraz będzie? (Spaceruje – nagle zatrzymuje się) Co ona robi? Co ona będzie potem robiła? (Rozpaczliwie) Ja jej życie złamałem. Ja ją zabiłem. Tak! To jest (właściwie) zbrodnia, moralna

zbrodnia. Gdybym teraz mógł
zrobić sąd nad sobą i wydać wyrok to
skazałbym się na śmierć. —
Muszę być bardzo zmieniony. (idzie do lustra)
Hm, nic dziwnego, że ludzi wypłaszam.
Z Henrykiem jej przyjaciółkę, teraz ten
doktór mieszka przedeumną. (siada przy stole)
Smutna sytuacya. Biedna dziewczyna. —
Wszystko przezemnie. Tylko ja jestem
temu winien. Ha, trudno. (wchodzi Zof.)

Zof: Czemu jesteś taki smutny?
Alf: Przeciwnie, jestem nawet bardzo wesoły.
Zof: Maskujesz się. Jesteś zdenerwowany.
Alf: Nic mi szkodzi. To przejdzie.
Zof: Masz zmartwienie?
Alf: Głupstwo! (spaceruje)
Zof: Możesz mi powiedzieć!

1) Dotyczące tylko mnie samego

Alf: Nieskończenie.
Zof: Pewnie, ja dla ciebie jestem już kimś zupełnie obcym.
Alf: Wcale nie! Tylko są rzeczy, o których (narazie) powinny cię bardzo mało obchodzić. —
Powiedz no mi czego ten Belski tutaj chce?
Zof: Nic! Tak sobie tylko przychodzi.
Alf: W odwiedziny. A na co on cię leczy?
Zof: Mnie? Jestem zupełnie zdrowa. Słuchaj; daj mi słowo honoru, że nikomu tego nie powtórzysz to ci coś opowiem.
Alf: Co takiego?
Zof: Wiesz, ten Belski jest warjatem. Kocha się we mnie i oświadczył mi się.
Alf: Kiedy?
Zof: Przed twojem przyjściem. Żebyś ty wiedział co on mi wszystko mówił.

1) Tys taka jsiwe untotā zaim.

Alf. A ty?

Zof: Powiedziałam mu, że jesteśmy zaręczeni, że cię kocham, a za niego nigdy nie wyjdę.

Alf. Bardzo ty mnie kochasz Zosiu!

Zof: Ah tyle razy już ci mówiłam. Bardzo-bardzo.

Alf: Powiedz mi czy ty byś mogła żyć bezemnie?

Zof: Co za pytanie.

Alf: A gdyby tak wypadło. Naprzykład widzisz ja mogę umrzeć.

Zof: Dzisiaj tak dziwnie mówisz.

Alf: Zupełnie seryo. Gdybym ja umarł. co byś ty zrobiła?

Zof: Co ja bym zrobiła. Wtedy mnie obiła się.

Alf: A gdybym ja cię opuścił?

Zof: Wtedy tak samo.

Alf: 1) Nie trzeba wszystkiego brać za tragicznie. Nad wszystkiem musi się człowiek zastanowić.

Po co miałabyś się truć? Życie jest pięknem, bardzo pięknem, tylko musi się je odpowiednio urządzić i używać.
Czy nie mogłabyś potem żyć z doktorem Belskim?

Zof: Który?

Alf: No- Po mojej śmierci! Kto wie co może być.

Zof: Alfred! Ty jesteś za bardzo zdenerwowany. Ty masz jakieś zmartwienie. Prawda?

Alf: Tak! Mam zmartwienie, ale nie pytaj się o to. Niech to ciebie nic nie obchodzi. Daj mi Twoją rękę. Twoją miłą, białą delikatną rączkę. Co ci mówił Belski?

Zof: Żebym została jego żoną, że on mi stworzy życie jakiego Ty mi nie jesteś w stanie dać.

Alf: Jakiego ja ci nie jestem w stanie dać.

(porówn. Kochanowski)

Skąd on może wiedzieć co ja ci jestem wstanie dać, a czego nie.

Zof: On tak tylko mówił. Nie musisz się zbyt nad tem tak (bardzo) zastanawiać.

Alf: Pan Bielski robi na mnie dziwne wrażenie. On mnie musi serdecznie nie lubieć. W każdym razie antypatya jest obustronną.

Zof: On może jest sympatycznym człowiekiem.

Alf: Jak dla kogo. (Milczą)

Zof: Taki jesteś dzisiaj smutny i ponury. Może będziemy razem książkę czytali

Alf: O nie-nie. Teraz nie mógłbym spokojnie czytać. (Milczą) Chciałbym wyjechać saniami, sam, gdzieś daleko-daleko, gdzie by ludzi nie było. I tam wśród ciszy, wpośród wielkiego pola,

Słuchaj Alf: Czy ja tego powodem, Powiedz
otwarcie czy mówię przedemnie?

skarżyć się, wypowiedzieć wszystko co mnie
boli... – Wiesz: Chciałbym pojechać z Tobą.
Objąłbym cię mojem ramieniem,
Tybyś się do mnie przytuliła i
opowiadała mi o jakiemś bardzo szczę-
śliwem wymarzonem życiu. Wtedy
uspokoiłbym się, a może zapomniał...

Zof. O czem?

Alf: O... O... o mojem życiu teraźniejszem

Zof: Czy ci tak źle jest?

Alf: Bardzo źle

Zof:[1] ~~Czy może przeczucie~~.

Alf: O nie – to tylko przeczucie.

Zof: Teraz ci źle. Jutro będzie dobrze jak się uspokoisz. Myślałam dzisiaj kiedy może być nasz ślub. Może już za dwa lata.

Alf: Za – dwa – lata. Przez ten czas wiele może

się zmienić. Bardzo więc. Kto to może
wiedzieć co będzie za dwa lata. Prawda Zosiu:

Zof: Ty jesteś dzisiaj naprawdę trochę dziwnym.
Co Ty wygadujesz? I jak Ty to mówisz?
Musisz się uspokoić, zapomnieć o Twojem
zmartwieniu.

Alf: Tak-tak! To jest komiczne to jest bardzo
komiczne ale niemożliwe. Ty mnie
uspokój Zosiu. Przysuń się do mnie,
oprzyj głowę na moich piersiach, ja
obejmę cię i będzie nam się zdawało,
że jedziemy gdzieś bardzo daleko. (Stoją chwilę
w milczeniu) O czem Ty myślisz Zosiu?

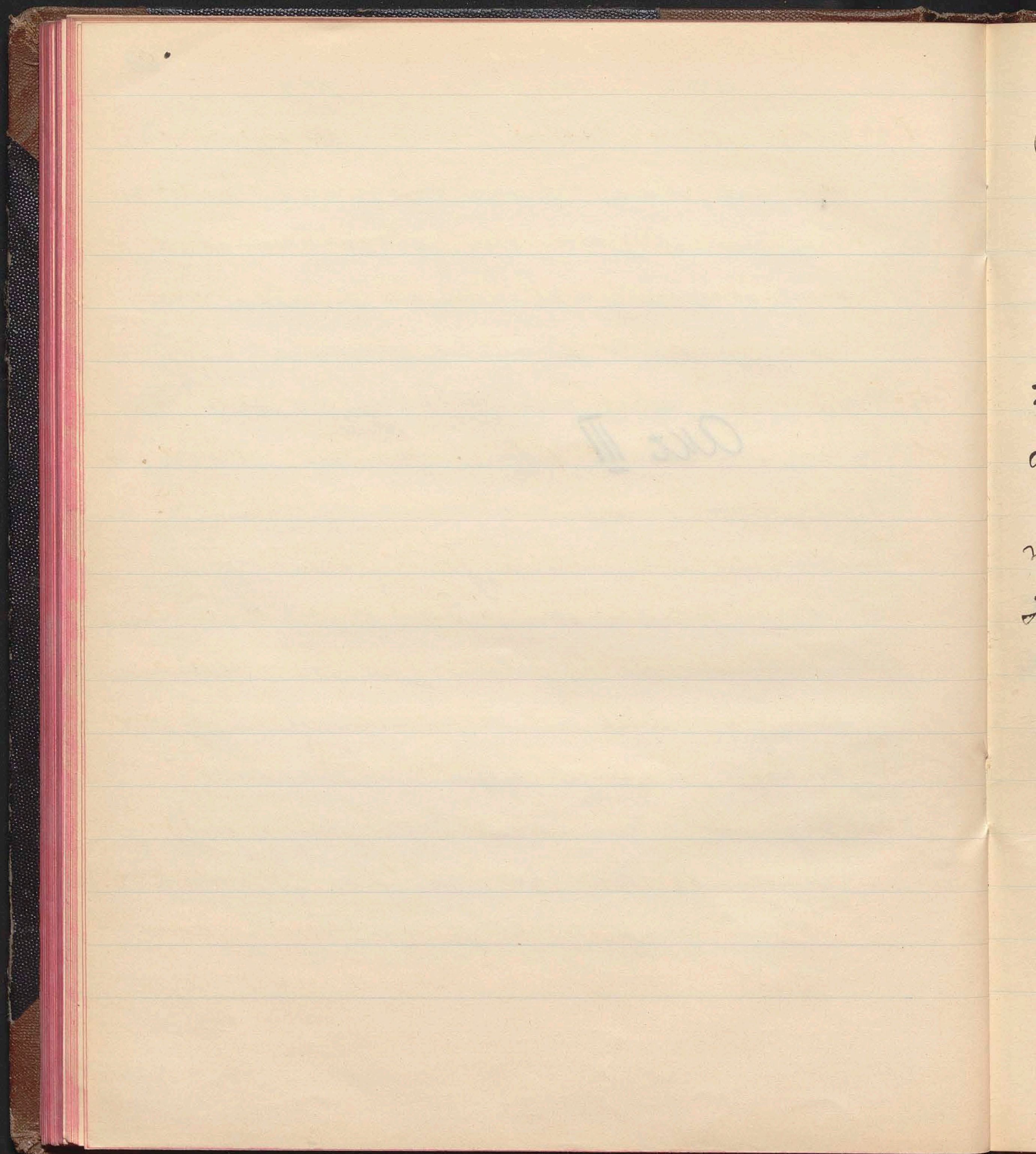
Zof: Że jedziemy po jakiejś długiej drodze,
zasypanej śniegiem, a na końcu tej
drogi jest most, przez który mamy
przejechać. Prawda to przyjemnie tak jechać.

(Alfred milczy) Czemu mi nie odpowiadasz?

Alf: Mnie się zdaje, że już wjechaliśmy na ten most, ale on się załamał, a my toniemy w zimnych martwych wodach. Brrr.. Jakie to straszne uczucie.

Zof: (wyrywa się z jego objęcia) Nie dobry. Ja sądziłam, że się uspokoisz, a ty... znowu... (Płacząc wybiega z pokoju. Alfred pozostaje chwilę nieruchomy, potem idzie na krzesełko i mówi wszystkim tonem) Ja to jestem czemś w rodzaju przekleństwa. Gdzie pójdę to nieszczęście za mną idą... Jedna jest już unieszczęśliwiona, bo mnie zanadto pokochała, a jej nie kocham, a druga będzie nieszczęśliwą, gdy się o tem dowie. (Nagle wybucha gwałtownym śmiechem) Ha! ha! ha! ha! (Wychodzi z pokoju)

Akt III



(Pokój Henryki taki sam jak w pierwszym akcie, z tą różnicą, że z boku stoi jeszcze mały wózek dziecinny. Henryka blada siedzi w rannym ubiorze przy stole, przed nią leży duża koperta z listem. Wchodzi Władysław.)

Wład: Dostałaś list?

Hen: Tak. Od koła pań. Urządzają zabawę. Czysty dochód na dom podrzutków.

Wład: I czego one chcą od ciebie?

Hen: Właśnie, że już nie. Dziękują mi za dotychczasową pracę w kole i usprawiedliwiają się, że sprawia im to prawdziwą przykrość, że do koła nadal należeć nie mogę, bo liczba członków jest teraz ściśle ograniczona. Ha, ha! Ich głowy są ściśle ograniczone. Boją się żebym im mojego

dziecka na wychowanie nie dała do domu podrzutków. Im teraz nie wypada, żebym ja do nich należała. Wiesz dlaczego? Bo ja mam nieślubne dziecko. Teraz u nich jestem już taką, o jakiej w dobrym towarzystwie wspomnieć nie wypada. Ale mieć ich dziesięć, a każde z innym to wypada bo to wszystko pod płaszczykiem męża się dzieje. Ha, ha!

Wład: Po co Ty o nich mówisz? Szkoda języka.

Hen: Wczoraj na ulicy spotkałam Reskiego. Pamiętasz jak mnie adorował? Na wykładach zawsze koło mnie chciał siedzieć. Wczoraj, jak mnie ujrzał zdaleka, przeszedł na drugą stronę, udawał, że mnie nie widzi. Jemu znowu nie wypada kłaniać mi się. Bałwan!

Wład: Dziwię się, że na takiego Reskiego zwracasz uwagę.

Hen: Wcale nie zwracam uwagi na takiego Reskiego, bo jest ich więcej tych panów co mi się teraz nie kłaniają, spostrzegam tylko jak powoli wszyscy się ode mnie odsuwają. Co ci powiedziałam przed pół rokiem sprawdza się. Ludzie przestają mnie znać.

Wład: Ty na ludzi nie zważaj. Oni teraz dla ciebie nie istnieją. Jesteś teraz panią sama dla siebie.

Hen: Myślisz, że to jest przyjemne?

Wład: Mniejsza o to. Ty bądź teraz dumniejszą niż byłaś. Tym im zaimponujesz. Za parę tygodni zaczniesz chodzić znowu na wykłady, po trochu latałe

zostaniesz samodzielną, będziesz się
mogła sama utrzymywać, spokojnie
wychowywać twoje dziecko, a wtedy ci wszyscy,
którzy dzisiaj nie chcą cię widzieć na
ulicy, znowu do ciebie się zbliżą, a
ty im powiesz, ja was nie znam
i znać nie chcę.

Hen: Marzenie - dziecinne marzenie. A przez
te dwa lata z czego utrzymywać się
będę?

Wład: Przecież z domu dostajesz co miesiąc
pieniądze.

Hen: Posyłają bo myślą, że się uczę. A
jak się o tem całem zajściu dowiedzą?
Przypuszczasz, że będą dalej posyłali?

Wład: Tego nie wiem. Jeżeli ci będą wtedy
dawać utrzymanie to dobrze. A jeżeli

1) Kiedy, przy sposobności będziemy (z sobą) mówiły na tak wzniosły temat jak odwdzięczanie się,

nic to lekcyami zarobisz trochę, a
reszte... Przecież my mieszkamy
razem, mamy wspólne wydatki, jeżeli
Tobie zabraknie pieniędzy, to ja mam
ich dosyć. Kiedyś w przyszłości to mi
oddasz. Najcięższe czasy już przeszły,
teraz gorzej być nie może, tylko lepiej.

Hen: Tyś dla mnie już tyle się poświęcała.
Czem ja ci się odwdzięczę?

Wład: 1) ~~Jak tylko mnie będziesz kochać, to będzie dla mnie całą zapłatą.~~ (Idzie do łóżeczka)
Śpi ten mały. — Powiedz mi Henryko, czemu Ty jesteś dzisiaj znowu
taką smutną?

Hen: Boję się czegoś. Jak ma się
co złego stać, ja to zawsze przeczuwam. A dziś tak się boję, tak bardzo
się boję.

Wład: Uspokój się. To tylko nerwowe uczucie. Może źle spałaś?

Hen: Nie! Nie! To nie nerwowe. To zupełnie coś innego. To przeczucie.

Wład: Przesąd.

Hen: Gdyby tak było. Czy i dziś dzisiaj ma wykłady?

Wład: Dopiero po południu. (Słychać dzwonek u drzwi) Jeszcze nie posprzątane, a tu już ranna wizyta.

Hen: Nic nie szkodzi. Pewnie jaka koleżanka. (Wchodzi Stanisławowa)

Stani: Jakiś pan przyszedł do panny Henryki.

Hen (zdziwiona) Pan – do mnie?

Stan: Tak! Wyraźnie pytał się o panienkę.

Hen: Hm! Kto to może być?

Wład: Nie możemy się długo nad tem zastanawiać. My przejdziemy do drugiego pokoju, a Stanisławowa niech poprosi tego pana.

Stan: Dobrze proszę panienki. (wychodzi)

Wład: A ty się prędko ubierz. (wychodzą)

(Wchodzi Morski. Rozgląda się po pokoju. Staje blisko drzwi.) Więc tutaj mieszka moja córka. Tutaj mieszka moje dziecko. (ogląda pokój) Nawet dość skromnie jest urządzony ten pokój. Ona musi teraz nędzę cierpieć. Ha trudno. Ja cierpię może więcej niż ona. (Postępuje kilka kroków naprzód. Spostrzega rączek) Dziecko! (Idzie do rączka - przygląda się) W tym dziecku płynie moja krew.

Ile radości by sprawiło to małżeństwo mnie staremu, gdyby ... (Wstępując do pokoju) Nie mogę dać się porwać miłości mojej do wnuka. Honor mój za nadto ucierpiał. (Idzie do stołu. Kładzie kapelusz i rękawiczki. Czeka niecierpliwie. — W drzwiach staje Henryka.

Hen: (z przerażeniem) Mój ojciec! (opanowuje się. Z udaną wesołością) Jak się tatko ma? Tak niespodzianie ...

Morski: Nie witaj się ze mną. Już nie jesteś moją córką.

Hen: (załamując ręce) O Boże! On już wie o tem.

Mor: Tak jest. Już o tem wiem. Coś ty zrobiła? Ty niegodna córko?

Hen: (płacze)

Mor: Nie odpowiadasz? Ja za ciebie odpowiem.

Rzuciłaś hańbę na nasze nazwisko,
splamiłaś naszą sławę. Zbeszcześciłaś
nas. Zhańbiłaś! Toś Ty zrobiła.
Z kim? Ja nie ciekawy. Nie jest on
vięcej vart od ciebie. A Ty: Nie jesteś
godna nazywać się Morską. Splami-
łaś już to nazwisko. Upadłaś
vyrodna córko, v błoto upadłaś.

Hen: Ja go kocham ojcze.

Mor: Ty mi nie mów teraz o mi-
łości. Widzisz do czego to doprowadzi-
ło! A może i on ciebie kocha?

Hen (z vahaniem) Tak!

Mor: I Ty jemu vierzysz naiwna dziewczyno:
Gdyby on ciebie kochał, to na drugi
dzień po fakcie v którym straciłaś
swoją cześć, on byłby do mnie

przyjechał, błagał o przebaczenie i prosił o Twoją rękę. Wtedy mógłbym ci jeszcze przebaczyć.

Hen: A dzisiaj?

Mor: Dzisiaj już nie mogę. — Ty sama nie wiesz coś nam zrobiła. Ile złego nam wyrządziłaś. — We wsi to chłopy palcem tam nas wytykają, a między sobą gadają, że córka dziedzica to paniczów ma w mieście. (Chwila milczenia) Matka, biedna mama, posiwiała ze zmartwienia. Rodzeństwo nie chce cię znać.

Hen: Straciłam już wszystko. Rodziców, siostry, braci...

Mor: Tak jest, straciłaś nas już bezpowrotnie do domu przyjąć cię teraz nie mogę. Z tą myślą musisz się oswoić

że domu rodzicielskiego już nie masz
i utrzymania i pomocy z domu
nie dostaniesz.

Hen (cicho) Ah!

Mor: Ja Tobie nie skąpiłem. Chciałaś się kształcić, posłałem cię do miasta. Dawałem pieniądze bo sądziłem, że się uczysz, a Ty wyszukałaś sobie ideał, zaczęłaś romanse no i teraz masz skutki Twojej miłości. Ja temu nie winien. Każdy się tak wyśpi jak sobie pościele.

Hen: Więc Wy mnie już znać nie chcecie? Ja dla Was już nie istnieję? Czy błąd mój, mój nie rozważny krok już nigdy naprawionym być nie może?

Wtedy mogłaby jeszcze zaprzeczyć wszystkim
pogłoskom. Tybyś wyjechała za granicę,
a po czasie, w którym by o tem zapomniano
już, mogłabyś do domu powrócić
Ale tak – niemożebne.

Morski: Owszem może być naprawionym.
Ty mogłabyś znowu do domu powrócić,
gdyby on, ten Twój idealny kochanek
pojął cię za żonę i tym sposobem
zmazał hańbę ciążącą na Tobie i
na nas.[1]

Hen: A jeżeli on tego nie uczyni?

Mor: Dlaczego miałby tego nie uczynić?
Jeżeli on ciebie kocha naprawdę,
jak Ty to twierdzisz, to on to zrobi.

Hen: A jeżeli on tego zrobić nie może?

Mor: Wtedy tracisz nas na zawsze!

Hen (po chwili do siebie) Z czego ja żyć będę?

Mor: Niech cię utrzymuje Twój hańbiciel.

Hen: (z rezygnacyą) Dobrze! Wy mnie nie znacie,
ja Was teraz także nie znam.
Nie potrzebuję od Was pomocy. Mój

nauczyciel będzie mnie przyjmywał;
mnie i mojego syna, który się
także Morski nazywa.

Mor: Niestety.

Hen: A jak ja go wychować nie będę mogła, to go oddam do domu podrzutków.
I nazwisko Morski będzie figurować
w domu podrzutków.

Mor: Nie! do tego nigdy nie dojdzie. do tego
ja nie dopuszczę!

Hen: Jakiem prawem. Ojciec mnie już
nie zna. Ja jestem jakąś zupełnie
obcą Morską skandalicznie się
prowadzącą, która spłodziła nieślubne
dziecko i oddała je do domu podrzutków.
Czy mi to może kto zabronić?

Mor: Rób jak uważasz za odpowiednie. —

Widzę, że moja służba bytności tutaj jest zbyteczną. Dowidzenia! Do domu nie pisz bo Twoje listy będą nie otwieranymi Tobie zwrócone. (Odwraca się — wyjmuje z portfelu kilka banknotów, które kładzie na stole) Pozostawiam Ci trochę pieniędzy, abyś mogła spokojnie wyszukać sobie jakiego zajęcia. Więcej odemnie już nic nie dostaniesz.

Hen: Nie chcę tych pieniędzy. Nie potrzebuję ich! Ja nie mam rodziny, nie mam nikogo, od obcych jałmużny nie przyjmuję. (Zgarnia pieniądze i gestem wkłada je Morskiemu do ręki.)

Mor: Ha! Trudno! Chciałem jak najlepiej. Wiem, że jesteś w niedostatku.

Hen: (z ironią) Głupstwo! Mój kawaler bierze

mnie teraz utrzymywać, a jak on nie będzie mógł — to inni! Znajdą się tacy.

Morski (patrzy zdziwiony na Henrykę potem mówi sucho)

Bądź zdrowa! Życzę ci powodzenia.

Hen: O! powodzenie mieć będę, a co do zdrowia to już nigdy nie będę chorowała (Morski wychodzi)

Hen: Sama teraz wśród świata. Sama jedna. Co potrzeba? — Alfred nic mi dać nie może bo sam ma zbyt mało! — A zajęcie? Co ja potrafię? Nic! Mam tylko szkolne wykształcenie. — Lekcje? Kto mnie przyjmie? — Co ja zrobię? Co się stanie ze mną? O mnie mniejsza, ale to dziecko? To biedne nieszczęśliwe dziecko. Co z niem się stanie? (wchodzi Władzio)

Wład: To był twój ojciec?

Hen: Tak!

Wład: Wiedzą o tem w domu?

Hen: Wszystko wiedzą.

Wład: Co ci mówił?

Hen: Wyrzekł się mnie. Wszyscy się wyrzekli: Ojciec, matka, siostry mo-i bracia.

Wład: Przykra historya. Na utrzymanie ci dadzą?

Hen: Powiedział mi ojciec, żeby mnie mój hańbiciel utrzymywał. Powiedziałam mu, że tak zrobi.

Wład: Na to się poradzi. Zajęcie się znajdzie.

Hen: Ojciec chciał mi zostawić pieniądze abym mogła spokojnie pracy szukać, ale oddałam mu.

Wład: Nic nie szkodzi. Mam teraz trochę

więcej gobórki to nam wystarczy.

Hen: Nie chcę być Twoim ciężarem.

Wład: Jesteś zawsze jednakowa. Nie dobra i rozmyślnie sprawiasz mi przykrość.

Hen: Przebacz, nie chciałam.

Wład: Na przyszłość nie mów bez zastanowienia się.

Hen: Czasem, to się powie to co się czuje, tak prosto z serca.

Wład: A czasem, to się zrobi komu przykrość – tak prosto z serca. (Wchodzi Jarczewska – mówi wesoło – swobodnie)

Jarczewska: Dzień dobry koleżanki (wita się z niemi) Przebaczcie, że tak wcześnie, ale wpadłam tylko na małą chwilę. Mam do Was mały interesik, a właściwie prośbę.

Wład: O co się Wam rozchodzi

Jarcz: Na początku roku objęłam lekcyę, którą

miałabym mętnie opuścić bo nie mam czasu, a bardzo potrzebna mi nie jest. Ponieważ tak odejść nie mogę i pod koniec roku szkolnego mają uczennice zostawić na lodzie, przeto przyszłam do Was z prośbą i propozycyą, czybyście Wy jej nie objęły. Jest popłatna.
Nawet przypominam sobie, przed kilku miesiącami szukałyście korepetycye, a zatem?

Wład: Tak jest. Szukałam i znalazłam.
Co do tej lekcyi to mam nadzieję, że jedna z nas ją obejmie.

Jarcz: Tak? To byłoby mi bardzo przyjemnie.
(wyjmuje papierośnicę) Koleżanki palące?

Wład: Nie! Nie używamy tego modnego teraz dla kobiet — sportu.

Jarcz: Mówię Wam bajeczna rzecz. (zapala papierosa) Co to za przyjemność... Palę jak mężczyzna.

Wład.) Przynajmniej w czemś potrafię mężczyzne naśladować, a właściwie dorównać i dotrzymać kroku.

Jarcz: (nie rozumiejąc jej słów) A tak! Przy dzisiejszej emancypatyi, w czasach kiedy my kobiety zdobywamy sobie takie prawa jakie mają mężczyźni..

Helu (Więc zaczynamy od palenia papierosów.

Jarcz: (urażona) Ależ nie tylko...

Helu: Przepraszam. Jeszcze jeździmy na rowerze i gramy w billard.

Jarcz: (zmieszana) Emancypatyę ludzie rozmaicie pojmują. Ale wracając do tematu, co do objęcia lekcyi. Czy koleżanki obejmą?

Wład: To jest kwestya, nad którą trzeba się trochę zastanowić. (do Henryki na ucho) Ty może obejmiesz?

Hen: Nie wiem jeszcze.

Wład: To namyśl się.

Hen: Może nie będę potrzebowała.

Wład: Nic z tego nie rozumiem. Będąc w takim położeniu jak Ty...

Hen: Właśnie widzisz będąc w takim położeniu jak ja — można lekcyi nie potrzebować.

Wład: (do Jar.) Nie możemy Wam dać teraz stanowczej odpowiedzi. Namyślimy się, a popołudniu będę na wykładach to Wam odpowiem.

Jar: Bardzo dobrze. Ja tylko nadmieniam, że lekcya jest popłatną i do tego w domu bardzo porządnym i moralnym. Ale ja Was żegnam. Zatem do popołudnia.

(żegna się — odchodzi)

Wład: Wiesz, twoje postępowanie jest dla mnie zagadką.

Hen: Być może.

Wład: Nie być może, tylko tak jest. Takie postępowanie jest dla mnie niezrozumiałe.

Hen: Zrozumiesz mnie niezadługo.

Wład: Ciekawam – bardzo jestem ciekawa. (Spacerując po pokoju) Powiedz mi dlaczego nie bierzesz tej lekcji?

Hen: Czy ja wziąść mogę?

Wład (zdziwiona) Dlaczego nie?

Hen: Mam powód.

Wład: Naprzykład jaki? Dobrze płacą, dom porządny...

Hen: Otóż to właśnie. Dodaj jeszcze, że moralny. Jarzowska powiedziała, że porządny i moralny. Jak dom

moralny, to ta młoda panienka jest także moralną. Jak ja mogę ją uczyć i wychowywać, ja osoba zupełnie nie moralna? Czy ty się nad tem zastanowiłaś? I ty przypuszczasz jak ja byw tano posła, przedstawiła się, czy oni nie powiedzieliby „nie" i pokazali drzwi? Czy oni mi mogą powierzyć wychowanie ich córki? Ja sądzę, że nie.

Wład: Ty zanadto pesymistycznie na tą sprawę się zapatrujesz.

Hen: Lepiej pesymistycznie, niż zanadto pogodno.

Wład: Ale z takiem zapatrywaniem się na wszystko do niczego nie dojdziesz. Trzeba sobie czasem dodać otwagi i otuchy. Pesymizm tego nie da – prędzej optymizm.

Hen: Mniejsza o to. Lekcyę nie obejmuję i to jej odpowiesz.
Wład: Dobrze! ciekawa jestem co teraz będziesz robiła.
Hen: To już moja rzecz! Namyślę się. (wchodzi Stanisławowa)
Stanisławowa. Proszę panienki, jakieś panie przyszły do panny Władzi.
Wład (do Henryki) Pewnie znowu jakie kolezanki.
Stani: E nie, bo to jakieś starsze już i elegancko ubrane. Powozem przyjechały.
Wład: Niech Stanisławowa poprosi.
Hen: Ja pójdę do drugiego pokoju.
Wład: Dobrze. Ja się zmienię prędko załatwię, a Ty namyśl się przez ten czas co masz robić. (Henryka wychodzi)
(Wchodzą dwie starsze panie)
Pani I. (do Wład) Dzień dobry pani. Bardzo panią przepraszamy, że tak rano zachodzimy...

Właś: Nic nie szkodzi. Panie nie pierwsze. Proszę usiąść.

Pani II. (oglądając pokój przez pince-nez) To dobrze — to bardzo dobrze się składa.

Pani I. Pani może nam poświęcić chwilkę czasu?

Właś: Proszę bardzo. W czem mogę służyć.

Pani I. Ah! Bagatela. Tylko łaska z pani strony.

Pani II. (powtarzając)... Dobre chęci z pani strony.

Właś: Ależ o co się rozchodzi?

Pani I. Nie chcę pani zabierać wiele drogiego czasu. W krótkości pani powiem po co przyszłyśmy. Jesteśmy delegowane z komitetu pań towarzystwa dobroczynnego „Głodne dzieci". Pewnie już pani o tem towarzystwie słyszała. Prawda?

Właś: Tak — coś — nie coś — —

Pani I. Otóż w tym roku...

Pani II. Jak lat ubiegłych...

Pani I (do pani II) Ma chère, nie przerywaj mi.
(do wład.) Otóż w tym roku, towarzystwo nasze urządza bal.

Wład: O to panie źle trafiły, bo ja na bale nie uczęszczam.

Pani I (niezrażona) Pani pewnie nie tańcząca i dlatego pani na bale nie chodzi.

Pani II. Pani nie musi tańczyć ale pani może być u nas w komitecie.

Pani I. Właśnie o to się rozchodzi głównie. Przyszłyśmy panią prosić do komitetu. Bardzo nam potrzeba kilka młodych energicznych panien

Pani II. Bardzo nam potrzeba.

Wład: Nie jestem wcale energiczna, a

w komitecie jeszcze nie byłam, zatem sądzę, że mogę panią być pomocną, przeciwnie nawet...
Pani II. To najmniejsza.
Pani I. Ah! Bagatela. To pani będzie robiła to co inne panienki.
Wład: Nie umie kokietować panów.
Pani I. Ah! Bagatela! To pani...
Wład ... będzie tak robić jak inne panienki.
Pani I. Nie to myślałam. Pani taka dobroczynna.
Pani II. O! Bardzo-bardzo, I pani to robi tak avec plaisir.
Wład: Proszę pani! Zdaje mi się, że tutaj zaszła pomyłka adresu, bo panie pewnie się wybrały do mojej przyjaciółki, która już kilka razy z podobnym towarzystwem była jako komitetowa.
Pani I Pani przyjaciółka?

Pani II. Kto to taki?

Wład: To jest panna Henryka Morska.

Pani I. Panna Morska? Broń Boże! Myśmy wcale do niej nie przyszły.

Pani II. My do niej? Boże uchowaj.

Wład: Co się panie tak poprzerażały? O ile się nie mylę o była już w komitecie u Pań.

Pani I. Tak-tak, była, ale — teraz — po tym ostatnim zajściu jakie było. Mon Dieu — trudno

Pani II. Właściwie — co się stała? Po jakim zajściu?

Pani I. Ah! Bagatela. (Mówi jej do ucha)

Pani II. Ah! Fe! Nie można jej wziąść do komitetu.

Pani I. Nie wypada...

Wład (ironicznie) Ona by nawet nie poszła.

Pani I. Nie poszła? Taka dumna?

Pani II. Ma się czem szczycić. Aussi une cause do zadzierania nosa.

Pani I. Kobieta, żeby coś podobnego zrobiła?

Wład (ironicznie) Dotychczas tylko kobiety rodziły.

Pani I. Nie to miałam na myśli. Ale żeby kobieta była tak bez honoru..

Pani I. Tak bez ambicyi — sans honneur

Wład: A czego ona ma się wstydzić?

Panie (nie odpowiadają)

Wład: A czy panie wiedzą jaki cel ma kobieta na świecie?

Pani I. Kobieta powinna być skromną...

Pani II. I cnotliwą...

Pani I. Przedewszystkiem gardzić mężczyznami.

Wład: Hubować czystość i co jeszcze? Nic—?
To panie słabe wyobrażenie mają o powołaniu kobiety.

Pani I: A jakie pani ma pojęcie o celach kobiety?

Wład: Celem kobiety jest zostać matką i wychowywać zdrowe potomstwo. Tem więcej dobrego zrobi dla społeczeństwa, niż być skromną i cnotliwą damą z komitetu. Złotnych dzieci" i gardzić mężczyznami. A jak widzę panie są chyba starszemi pannami.

Pani I. (urażona) Cóż znowu?

Pani II. Jakże można (do pani I) My stare – słyszałaś.

Wład: Nie miałam wcale zamiaru pani obrażać. Panie nie wychodząc za mąż postąpiły tylko według zasad dopiero co wygłoszonych.

Pani I. Tak jest. Jesteśmy pannami ale wypraszamy sobie dodatków.

Pani II. Pani mówi stare panny, a my możemy jeszcze za mąż wyjść.

Pani I. Ah! Bagatela (do pani II.) Ma chère, zwracasz uwagę na takie drobnostki.

Wład. Panie mają zasadę z wyjątkami. Bardzo wygodna zasada.

Pani I. Tak jest. Bardzo wygodna jak dla kogo. Co do mnie ściśle się do niej zastosuję.

Pani II. Mówiłaś przecież, że...

Pani I. (przerywa prędko) Ależ, ma chère, przyszłyśmy tutaj panią prosić do komitetu, a nie na dysputy.

Wład (śmiejąc się) W której nie możemy pogodzić się. Co do tego komitetu to niech panie na mnie nie liczą. Jeżeli panie pomówią z moją przyjaciółką panną Morską...

Pani I. Nie! Nigdy!

Pani II. Broń Boże! Po coż była do komitetu? Jeszcze czego?

Pani I. Taka ladaco!

Wład. (ostro) Teraz ja sobie wypraszam sypania epitetów mojej przyjaciółce. Czy panie rozumieją? W końcu uważam dalszą rozmowę za zbyteczną.

Pani I. Chodźmy bo zaczyna się nas tutaj obrażać. (wychodzą)

Pani II. (w drzwiach) Taka smarkula z uniwersytetu. - Arrogante.

Wład (przez drzwi na schody) A nie pospadajcie ze schodów stare pudła bo się pozbijecie. (Trzaska drzwiami za niemi, idzie do pokoju Henryki)

Wład: Pomyśl sobie Henim, te stare czupiradła z tego towarzystwa przyszły

mnie prosić do-ko-mi-te-tu. Ha! ha, ha. Tobie posłali świadectwo odejścia teraz się do mnie biorą.

Hen: Słyszałam całą rozmowę w tamtym pokoju. Dobrze zrobiłaś, żeś nie przyjęła ich propozycji.

Wład: Cieszy mnie, że miałam sposobność trochę się wygadać. Ulżyło mi to.

Hen: Szkoda tylko, że tak krótko były.

Wład: Wyjdę na chwilę do miasta.

Hen: (spoważniała) Mam do ciebie prośbę.

Wład: Jaką? Z największą przyjemnością. Potrzebujesz czego?

Hen: Tak! Pamiętasz, wczoraj napisałam list do Alfreda. Od miesiąca już nie był u mnie. Doniosłam

mu, że jest – ojcem. Rozzłam mu rzuty, za nie odpowiadanie na moje listy i napisałam mu, że jeżeli dzisiaj do 11stej u mnie nie będzie to ja sama przyjdę do niego, a my mu to przyjemnem będzie to nie wiem. Który teraz namyśliłam się. Jedenasta już dawno minęła, a jego jeszcze nie ma i zapewne nie przyjdzie. Napiszę list do niego, a ty bądź tak dobrą zanieś go.

Wład: Owszem! Przechodzę nawet tą ulicą.

Hen: Idź ubierz się tymczasem, a ja napiszę.

Wład: Oj, a z tą lekcyą: obejmiesz?

Hen: Nie.

Wład: Myślałam, że się namyślisz co masz robić.

Hen: To też się namyśliłam.
Wład: Co zrobisz?
Hen: Mniejsza o to. Dowiesz się.
Wład: No, zbieram się. A Ty pisz. (wychodzi)
Henryka (siada przy biurku – pisze list, zalepia go. Idzie potem do szafki, otwiera ją, szuka czegoś, po chwili woła:) Władka, nie widziałaś Ty przypadkiem, takiej małej flaszeczki pachnącej gorzkimi migdałami?
Wład: (wchodzi w kapeluszu) Schowałam ją. A co Ci po niej?
Hen: Lubię jak wszystko jest na swoim miejscu. Ta flaszeczka tutaj stała, postaw ją napowrót.
Wład: To trucizna, dlatego wolałam wziąść ją z tąd.
Hen: Jesteś śmieszną. Cóż z tego, że trucizna?

Wład: Wybacz, ale byłaś dawniej tak zdenerwowaną, że obawiałam się, abyś nie zrobiła jakiego głupstwa.

Hen: Cóż większe zrobiła chowając to przed tamną?

Wład (wyjmuje z księżek szuflady flaszkę) z kąt
Cóż to masz?

Hen: Raz był u mnie Alfred i pokazał mi dwie takie takie flaszeczki. To jest cyanek-potasu. Najsilniejsza trucizna. Dwadzieścia sekund po zażyciu już się nie żyje. Wzięłam mu jedną, a on rad-nie rad musiał się na to zgodzić.

Wła: A co ci teraz po niej?

Hen: Nic! Niech tutaj stoi.

Wład: Idę już. (odbiera żakiet)

Hen: A list?

Władz: Masz się rozumieć, że weźmie ze sobą.

Hen: Zadzwoń, oddaj go, nie baw się w konwersacje i odeślij zaraz.

Władz: Dobrze – dobrze, wszystko zrobię jak sobie życzysz. A z miasta nie potrzebujesz niczego?

Hen: Nie. Już niczego nie potrzebuję.

Władz: Jakto już niczego?

Hen: No – bo wszystko mam.

Władz: Dowidzenia. Idę już. (podaje Henryce rękę) Serwus.

Hen: Dowidzenia. (zatrzymuje jej rękę dłużej w swojej dłoni) Dziękuję Ci za – za odniesienie mi tego listu. (całuje ją) Dowidzenia Władziu (Władz. wychodzi)

Henryka (bierze szklankę i idzie z nią do szafki. Wyjmuje flaszeczkę, wylewa do szklanki i stawia ją na stole. Idzie do wózeczka nachyla się – całuje dziecko. Następnie siada na krześle przy stole. Wypija truciznę, opuszcza rękę w której ma

próżną szklankę przez poręcz krzesła. Po chwili głowa przechyla się w tył, szklanka wypada z ręki. Na odgłos stłuczonego szkła wchodzi Stanisławowa.

Stanisławowa: Panienka znowu szklankę stłukła? Tyle ciągle szkody. (Przypatruje się jej uważniej) A co panienka tak siedzi? Usta otwarte, ręce rozłożone, oczy w sufit wzniesione? (niecierpliwie) Niechże panienka siedzi porządnie bo aż człowieka strach bierze. No niechże panienka co powie. (Przybliża się do Henryki, bierze ją za rękę, podnosi, ręka bezwładnie opada) Co to jest? Panienko! (potrząsa nią) Boże! Ona nie żyje! Otruła się! (załamuje ręce - odstępuje od niej) Co to teraz będzie [illegible]!

Rany! Rany! (Idzie do drzwi) Co się teraz stanie z tym dzieckiem. (Rozumując) — A to pewnie wszystko przez tego co to do niej tutaj chodził. (Wynoszą panią z pokoju. Głos Stanisławowej za sceną) Ludzie, gwałtu, ratujcie, Ludziiee... .

Akt IV

Salon pani Zakierskiej elegancko umeblowany. Meble antyczne, na ścianach portrety z końca 18 wieku. Zwisi [?] pachup adłą [?] szlachta. Z boku stoi stoliczek, przy którym siedzą: Alfred i jego przyjaciel Mieczysław Pilski.

Mieczysław: Mówię ci Fredek, tego miesiąca spędzonego za granicą nie zapomnę nigdy w życiu. Bawiłem się od rana, do — rana. Noc, dzień, dzień, noc, wszystko jedno.

Alf (poważny — przygnębiony) Trochę zeszczuplałeś i przybladłeś. Pierwej lepiej wyglądałeś.

Miecz: Co mi tam o to. W naszej, starej, poczciwej mieścinie znowu się podreperuję.

Alf: Zaczynasz, z naszego miasta robić coś à la miejsce kąpielowe na tycie.

No, niech się o tem dowiedzą panie tutejsze to wszystkie wyjadą.

Miecz: A to byłaby bieda. Nie miał by się człowiek z kim bawić.

Alf: Znalazłyby się inne zabawy.

Miecz: Pewnie, ludzie są pomysłowi, ale wiesz, tak żyć nie mając żadnych miłostek, to przecież trochę głupio. Jak sądzisz?

Alf: Głupio może dowidzowo. Wierzaj mi, czasem lepiej nie mieć żadnej miłostki, bo te się czasem jeszcze głupiej kończą, niż zaczynają. A potem, to człowiekowi tak głupio, że nie wie co ze sobą robić. Najchętniej to by sobie w łeb palnął.

Miecz: E! Tragicznie wszystko bierzesz. Ja miałem w moim życiu może sto słoneczków i nic mi nie jest, i drugie sto będę pewnie miał.

Alf: Jak się komu uda. Akrobata w cyrku, tysiąc razy robi salto-mortale, a tysiąc i pierwszy raz gdy robi to samo to kark kręcie.

Miecz: Co ty porównujesz akrobatów i ich koziołki do moich miłostek?

Alf. B-o właśnie takie miłostki są jeszcze niebezpieczniejsze niż te koziołki w cyrku.

Miecz. Bajki wysoki trybunale i koniec. Jakie twoje studya?

Alf: Pozdawałem com zdać miał, a

teraz robić dalej:

Miecz: To Ty biedaku zamęczasz się. Ja dopiero zacznę robić.

Alf: Ha, ha! Mnie co innego męczy, nie nauka.

Miecz. Naprzykład?

Alf: Ktoś.

Miecz. A! Ktoś? – osoba? – Hm. Wielki znak zapytania. Kobieta?

Alf: Zgadłeś.

Miecz: Wybacz za niedyskrecyę, ale cię spytam – może Twoja narzeczona?

Alf: Ah nie! Najukochańsze w świecie stworzonko.

Miecz: Tylko kto? Może jaka miłostka?

Alf: A tak-tak. I to jedna z tych niebezpiecznych

Meir: Koziołkowatych?

Alf: Coś w tym guście.

1) —

Miecz: Miałeś jaką kochankę?

Alf: Wiesiczy możemy powiedzieć oboje.

Miecz: Ja o niczem nie wiem. Nic mi nie mówiłeś. Żeś do jakiejś studentki z uniwerku chodził to stara historyja. Czyżby z nią były jakie kramy?

Alf: Ba! Jeszcze jakie. Nie wiemy właśnie jak się ta cała historya skończy.

Miecz: Może powiesz coś więcej?

Alf: Nie ma o czem gadać. Ot zaczekaj chwilę (szuka w bocznej kieszeni i wyjmuje list) Przeczytaj to sobie. Dostałem dzisiaj rano pocztą. Wszystkiego się dowiesz.

Miecz: (czyta) To rzeczywiście trochę głupia historyjka. (wesoło) No, ale pozwól sobie pogratulować. Zuch z ciebie

chłopaku, masz już syna.

Alf: Dziękuję ci za tego rodzaju przyjemności.
Ty to wszystko bierzesz jak jaką
parodję, a ja mam szczerą ocho-
tę w łeb sobie palnąć.

Miecz: Zwarjowałeś? Niby dlaczego? Że tam
z jakąś dziecko masz?

Alf: Właśnie, że ona nie jest żadna
jakaś i to całą sprawę robi tragiczniejszą.

Miecz: Bo w rzeczy samej, jest to wielkie
głupstwo. Co drugi mężczyzna ma
podobny przypadeczek i żaden
sobie dlatego w łeb nie strzela.
A ty nie rób żadnych błazeństw.

Alf: Ale to jest przykra rzecz. Pomyśl.
Córka posiadacza dóbr, panna
z bogatego i dobrego domu, to taki

wypadek, ani dla niej, ani dla jej rodziny tej przyjemności zaliczyć nie można.

Miecz (wesoło) Ty, jak ona z bogatego domu, to wychowanie dziecka nic cię kosztować nie będzie.

Alf: Żart - żartem, ale mówmy poważnie.

Miecz: A zatem ja się ciebie pytam poważnie dlaczego ty do niej przestałeś chodzić?

Alf: Wiesz, miałem jakieś skrupuły, wyrzuty sumienia, ja nie miałem

poprostu odwagi pokazać się jej na oczy. Czułem i widziałem, że postępuję podle, ale... W końcu zacząłem się jej bać. Ona stała się dla mnie demonem

czarnym demonem. Sama myśl o niej
przerażała mnie. Ona mi w nocy spać
nie daje, ciągle staje mi przed oczyma.

Miecz: A dzisiaj byłeś u niej?

Alf: Nie! Nie miałem odwagi.

Miecz: Trzeba było iść. (wyjmuje zegarek) Jest już
blizko pierwsza. Ona ci pisze, że jeśli
do jedenastej u niej nie będziesz, to
przyjdzie sama do ciebie. A byłbyś
wtedy w głupiej sytuacyi. Powinieneś
bezwarunkowo dzisiaj do niej iść.

Alf: Właśnie tego się boję, żeby nie przyszła.

Miecz: Możebyś teraz jeszcze poszedł?

Alf: Absolutnie nie mogę. Moja narzeczo-
na ze swoją matką, moją przyszłą
teściową będą u nas na obiedzie.
Korzystam z sposobności, aby ciebie

Takie zatrzymać.

Miecz: Ależ mój kochany, nie chcę cię krępować. Zaraz odchodzę.

Alf: Nie-nie. Zostaniesz.

(Wchodzi pani Żakiewska. Mieczysław kłania się.)

Alf: Pozwoli mama, że jej przedstawię mojego przyjaciela Mietka Pilskiego.

Pani Żak: (po ceremonii przedstawienia) Bardzo mi przyjemnie poznać pana osobiście, bo z opowiadania, dawno i dobrze pana znam.

Miecz: Pewnie Fredzio niegodnie oczernił mnie przed panią dobrodziejką.

P. Żak: Owszem, same pochlebne rzeczy o panu słyszałam.

Miecz: Może znowu hymny na moją cześć?

Alf: Tyle tylko dobrego o Tobie mówiłem

o ile na mnie zasłużyłeś.

Miecz: Nie mogło tego być wiele.

P. Żar: Ile było, to w każdym razie jest wystar- 7,
czającem, aby mieć o panu dobre 4..
wyobrażenie i cieszy mnie to bardzo,
że pan jest tak serdecznym przyja-
cielem Fredzia.

Miecz: To dzięki tylko Alfredowi, którego
znając bliżej trudno nie pokochać
i przywiązać się do niego.

Alf: Mamo, zaprosiłem Mietka na obiad.

P. Żar: Dobrze zrobiłeś. Ja panu również 2
proszę i sądzę, że pan naszym prośbą,
zadość uczyni.

Miecz: Jestem wzruszony serdecznością, jaką
mi pani dobrodziejka i Alfred
okazują.

P. Żak: Wierzaj mam, że to jest prawdziwe. (do Alfreda) Fredziu, Zosia z mamą są w drugim pokoju, już dość dawno przyszły. Może się panowie przeniesiecie do towarzystwa?

Alf: Nie, lepiej tutaj. Pójdę obie panie tutaj przyprowadzić. A ty Mietek poznasz moją narzeczoną.

Miecz: Jestem niezmiernie ciekawy (Alf. wychodzi)

Pani Żak: Jak pan znalazł Fredzia? Zmienił się prawda?

Miecz (wyjmując coś): Nie można tego powiedzieć. Zmizerniał w ostatnich czasach.

P. Żak: Ale bardzo źle wygląda. Zmizerniał, nerwowy, wszystko go drażni.

Miecz: Ah te nerwy! To ogólna choroba dzisiejszego wieku. Każdy jest nerwowy.

P. Żak: To prawda, ale on bardzo się zmienił. Dawniej wesoły, teraz smutny, mało mówi, nie chce jeść, zamyślony.. obawiam się o niego.

Miecz: Przypuszczam, że się przepracował. Uczył się zielo...

Pani Ż: Daj Boże, aby tylko skończył naukę jak najprędzej.

Miecz: Zdaje mi się, jeszcze jeden rok na studjów.

Pani Ż: Tak. A pan czemu się poświęca?

Miecz: Ja na prawo zapisałem się.

Pani Ż: Ma pan ładne widoki na przyszłość.

Miecz: Bronić wszystkich złodzieji.

Pani Żak: (śmiejąc się) To swoją drogą, ale zawód prawniczy jest popłatny.

Miecz: Nawet już w czasie studyów, mam zajęcie w kancelaryi adwokackiej.

P. Żak. Fredzio tak był dotychczas zajęty że nawet nie miał czasu do udzielania lekcyi. — Czy pan wyjeżdża gdzie na lato?

Miecz: Byłem teraz miesiąc za granicą.

P. Żak: I co?

Miecz: Bawiłem się dobrze. Widziałem innych ludzi, inne obyczaje.

P. Żak: Co kraj – to obyczaj.

Miecz: Żałuję, że Fredzio ze mną tam nie był.

P. Żak: Po ślubie pojedzie ze żoną.

Miecz: Prawda ma narzeczoną.

P. Żak: Bardzo miła i sympatyczna panienka. Może ją pan zna? Panna Zofia Larska?

(Wchodzą: Pani Żarska i Alfred z Zofią pod ramię.

Alf: Pomyśl sobie mamusiu, że nie mogłem skłonić Zosię aby tu przyszła do pokoju.

Zof: Nie chciałam wejść bo nie chciałam panom przeszkadzać.

Alf (do Miecz.) Pozwolisz, że Cię przedstawię. Mieczysław Pilski mój najszczerszy przyjaciel. — Panna Zofia Żarska - moja narzeczona

Miecz: Bardzo mi miło poznać panią - panią jako narzeczoną mojego przyjaciela.

Zof: A mnie pana jako przyjaciela mojego...

Alf: Fredzia.

Zof: Na razie jeszcze tylko narzeczonego.

Mieć: W końcu to wszystko jedno. Czy pani powie Fredziu, czy narzeczony,

na pani jedną i tą samą osobę na myśli.

Zof: Tylko to różnie brzmi. (Siadają przy stolikach. Tworzą się dwie grupy. Alf, Zof i Miecz — pani Łaska z panią Żab. Wszyscy rozmawiają).

Miecz: Nie chce go pani rozpieszczać przed ślubem.

Alf: Ty myślisz, że po ślubie będzie mnie pieścić?

Miecz: Ja myślę, że po ślubie pójdziesz pod pantofelek.

Zof: Myli się pan. Zostawię mu zupełną wolność. Jeżeli mój narzeczony potrafi odróżnić idealną miłość od .... (zacina się)

Miecz: Od błota...

Zof: Tak od błota, to nie będę

miała potrzeby mieć go pod pantoflem.

Miecz: Sądzę, że Fredzia przekłada to pierwsze nad drugie. Prawda Fredek

Alf (posępnieje - nic nie odpowiada)

Miecz: Trochę smutny jest dzisiaj. Gdyby tutaj był fortepian zagrałbym mu co Chopina.

Zof: Pan grający?

Miecz: Trochę. Szczególnym talentem nie odznaczam się. A pani?

Zof: Tak jak pan. Jestem muzykalną, muzykę szalenie lubię.

Miecz: Ma pani ulubionych kompozytorów?

Zof: O tak! Chopin, Beethoven. To są tacy myśliciele prawdziwi geniusze.

Miecz: Chopin smutny romantyk,

Beethoven filozof. Jeżeli pani lubi muzykę pewnie pani poezyę nie nie pogardza?

Zof: Namiętnie czytam wiersze, ale takie smutne, porywające

Mież: Coś à la Chopin?

Zof: Tak à la Chopin, Mendelsohn.

(Przy drugim stoliku)

Pani Żar: Smażyła pani tego roku konfitury?

P. Żak: Mam zamiar dopiero.

P. Żar: Ja zrobiłam sok malinowy, ale mówię pani jeszcze mi się nigdy tak dobre nie udał jak tego roku. Muszę pani posłać jedną flaszkę.

P. Żak: Serdecznie pani dziękuję. W tych dniach będę również sok robiła.

P. Żars: A pomarańczowe skórki umie
pani smażyć?

P. Żak: Co roku je robię.

Miecz: Aby być zakochanym, proszę pani
to musi się znaleźć ideał. Ja
nie byłem tak szczęśliwym.

Zof: Może pan nie szukał? A zna
pan ten wierszyk:
„Pokochać trzeba, coś pokonać
I coś w sercu trzeba mieć!"
Zna to pan?

Miecz: Byłem jeszcze małym chłopczy-
kiem gdym to słyszał i nie zasta-
nawiałem się nad tem, dziś zadowal-
niam się tą małą ilością krwi
jaką mamy w sercu.

Zof: To nie ładnie. Może pan realistą?

Miecz: Także nie. Ja właściwie sam nie wiem jak się mam określić.

Zof: Ja pana wyręczę. Przedewszystkiem jesteś pan zdania: „Używaj świata, póki służą lata." Prawda zgadłam?

Miecz: No tak, myślę, wszyscy młodzi...

Zof: Młodzież męzka za mało ma w sobie idealizmu.

(Wchodzi służąca mówi coś cicho z panią Żak i wychodzi.)

P. Żak: Proszę państwa do stołu. Przejdziemy do drugiego pokoju. (Wstają z miejsc. Słychać dzwonek wchodowy)

P. Żak: Czyżby goście teraz?

(Uwaga zwraca się na drzwi z przedpokoju.)

Alf (na boku do Miecz) Miętek to ona. Jaka

nie litościwa. demon – демон.

Mec: Uspokój się. Może kto inny.
(Wchodzi służąca)

Pani Żak: Kto przyszedł?

Służąca: Jakaś panna chce się widzieć z panem Alfredem.

Pani Żak: Poproś dalej. (Służąca wychodzi)

Alf (Bardzo zmieszany) Przepraszam na chwilę, zaraz wracam. (Wychodzi do swojego pokoju, wchodzi Władzia)

Pani Żak: Pani się chciała widzieć z moim synem?

Wład: Widzieć – to nie konieczne. Chciałam tylko oddać list od mojej przyjaciółki (Pani Żak zdziwiona) Przyjaciółka moja jest słaba i nie może przyjść osobiście podziękować za pożyczone jej

książki. (kładzie listy na stole) Żegnam
państwo. (odchodzi)

Pani Żak: Dowidzenia się z panią.

Miecz: (do siebie) Chwała Bogu, że się to tak skończyło.

Pani Żak: Teraz proszę państwa do stołu.

Zof: (do Miecz) Mogę prosić pana o towarzystwo?
Alfred znowu czemś się zajął i nie
wychodzi z pokoju.

Pani Żak: Panie Mieczysławie, bądź pan tak
dobry wejść do pokoju Alfreda i popro-
sić go do stołu.

Miecz: Z całą przyjemnością. (do Zof) Pani
przebaczy..

Zof: Proszę bardzo.. (Miecz wchodzi do pokoju Alfreda

Pani Żarska: (do Zof) Zosiu tylko nie grymaś
przy obiedzie.

Zof: Niech się mateczka nie obawia.

(Wychodzi z pokoju Miecz., blady, pomięszany)

Pani Żak: Co panu jest panie Mieczysławie?

Miecz: Tam — tam Alfred...

Pani Żak (przestraszona) Co się stało?

Miecz: Alfred - coś - sobie - zrobił.

Pani Żak: Jezus Marya miejcie go w opiece.

(Wpada do pokoju Alfreda — głos jej z pokoju.)

Ratunku (wbiega do pokoju z powrotem)

Ratujcie moje dziecko — po doktora.

(wybiega z pokoju)

Zof: (do Miecz.) Co mu się stało?

Miecz: Zdaje mi się, że się otruł.

Zof: Otruł? Ależ on musi żyć jeszcze.

Zaledwie kilka minut upłynęło

jak wyszedł z pokoju.

Miecz: Są trucizny które szybko działają.

Może pani tam wejdzie?

Zof: Boję się. Nie wyjdę.

Miecz: Przecież tam jest Fredzio, pani narzeczony.

Zof (zwraca się ctworze v kolicu postępuje kilka kroków naprzód)

Pani Żar: Zosiu zostań tutaj, nie możesz tam.

Teraz on niegotowy abyś go zaskoczała.

Zof: (z oburzeniem) Mamo! (po chwili namysłu) Dlaczego on to zrobił. — Tak nagle. Czy mówił pani co?

Miecz: O samobójstwie nic mi nie wspominał. Mówił mi, że się czegoś obawia, a czego tego nie wiem. Musiał mieć jakieś zmartwienie i to pewnie jest powodem..

Zof: Ah, przypominam sobie. Ale to już dawno jeszcze w zimie.

Miecz: Być może, że się krył z czemś.

(Wchodzą doktór Belski, Pani Żak:

Pani Żak: Panie doktorze, proszę tędy. (Wskazuje pokój.)

Dr Bel: Pani niech tutaj zostanie. (do Mier) Proszę pana ze mną. (wchodzą do pokoju Alfreda)

Pani Żak: Jedynego syna miałam i straciłam go. Dlaczego? (z rozpaczy) Powiedzie mi dlaczego?

Pani Żar: Niech się pani uspokoji. Doktór jest – może go uratuje.

Pani Żak: (płacząc) Dlaczego on się truł? Dlaczego pozbawiał się życia.

Pani Żar: Nie traćmy nadziei. On może będzie jeszcze żył.

Pani Żak: (głośno) Może będzie jeszcze żył.

Dr Bel (wychodzi do Mier) Dziękuję panu za asystencyę.

Pani Żak: Panie doktorze! Mój pan!

Dr Bel: (robi nieme ruchy rękoma)

Pani Żak: Czemu go pan nie ratuje?!

Dr Bel: (milczy)

Zof: Panie, ratuj go pan!

Dr Bel: Pani, my doktorzy tylko chorych ratować możemy. — Już zapóźno.

Pani Żak: (staje w drzwiach pokoju Alfreda, otwiera je i patrzy do środka.

Patrzcie się jaki on blady; jakie on ma czarne plamy na twarzy. Patrzcie się na jego oczy otwarte. (w obłędzie) Jak on się strasznie na nas patrzy. Zamknijcie mu oczy. Kto mu pójdzie zamknąć oczy? (Nikt się nie rusza z miejsca) Boicie się? Ha! ha, ha, czego vy się boicie? Mojego syna? Mojego nieżywego syna? Ha, ha, ha!

Dr Bel (chce wejść do pokoju Alfreda)

Pani Żak: Precz! Niech nikt do niego nie

ochodzi. Niech się go nikt nie dotyka.
Ja, matka tam pójdę. Ja się go
nie boję. Ja mu oczy zamknę. (wychodzi)

Zof: Panie doktorze czem on się otruł?

Dr Bel: Cyankiem potasu. Śmierć nastąpiła
natychmiastowo. Już drugi raz jestem
dzisiaj wzywany do samobójcy. Przed
pół godziną otruła się niejaka
panna Morska tą samą trucizną.

Miecz (do siebie - zapominając się) Więc on się tylko
zbyt pośpieszył.

Zof: Jakto - pośpieszył się? Co to znaczy?
Pan coś wie!

Miecz: Zdaje mi się, że on właśnie
owej panny Morskiej się obawiał.

Dr Bel: W jakich okolicznościach on to zrobił?

Miecz: Był niespokojny, jakby kogoś

otwierał. Dzwonek wnet ktory zadzwonił,
służąca weszła do pokoju i powiedziała,
że jakaś panna chce się z nim
widzieć. Wtedy on wyszedł tam do
pokoju i — resztę pan wie.
Zof: Weszła owa panna i zostawiła ten
oto list. Powiedziała, że od przyjaciółki.
Dr Bel: Aha! Zaczyna się rzecz cała powoli
wyjaśniać. (Wchodzi Pani Żak:)
Pani Żak: (spokojnie) Cicho bądźcie. On śpi.
Tak spokojnie śpi. Nie przeszka-
dzajcie mu. Nie budźcie go. (ponuro)
Zamykałam mu oczy, ale powieki
ciągle się podnosiły. A on patrzał
się na mnie temi, strasznemi,
przerażonemi oczyma. (Śmieje się) He, ha!
I śpi z otwartemi oczami. Patrzcie

się jak on smacznie śpi.
Ha, ha, ha! (Patrzy do pokoju) On chce wstać i nie może się poruszyć. On tu chce wejść. (przerażona) Ja się go boję! — Nie! ja się go nie boję. To mój syn: (wnoszą do pokoju Alfa. Głos jej) To mój umarły syn.

Dr Bel: Biedna kobieta, dostała pomieszanie zmysłów. Musi się zatelefonować do zakładu dla obłąkanych aby przysłali karetę po nią. (do Miecz) Może pan będzie tak dobrym?

Miecz: Jestem do usług. W tej chwili idę. (do Zofi) Pani, przyjmij moje najszczersze współczucie po stracie jej narzeczonego.

Zof: Możemy sobie oboje kondolować.

Pan stracił przyjaciela.

Miecz: (kłania się) Żegnam państwo. (wychodzi)

(Chwila milczenia. Dr Belski spaceruje po pokoju. Głos pani Żak: z pokoju Alfa)

Fredziu czy ty się już nigdy nie obudzisz?

Zof: Ah, jakie to straszne.

Pani Żak: (z pokoju) Kto zabił moje dziecko?

(Wbiega do pokoju przestraszona służąca)

Służąca: Co się stało mojej pani?

Dr Bel: Pani zasłabła. Będzie ją trzeba oddać do szpitala.

Służąca (załamuje ręce) Biedna pani. (wychodzi powoli z pokoju.)

Pani Żak: Muszę ją pocieszyć. Tak przywiązana... Przepraszam. (wychodzi.)

(Dr Belski spaceruje po pokoju. Zofia płacze).

Dr Bel: Niech pani będzie spokojną.
Stało się. Napróżno rozpaczać!

Zof (wybucha płaczem)

Dr Bel: Gdzie ten list? Może go otworzyć?

Zof: Dobrze.

Dr Bel: Ale przestrzegam, że może się pani czegoś nieprzyjemnego dowiedzieć.

Zof: Jest mi teraz wszystko obojętnem.

Dr Bel: (bierze list do ręki) Otworzyć?

Zof: Tak.

Dr Bel (otwiera list - czyta cicho)

Zof: Niech pan głośno przeczyta.

Dr Bel: Dobrze! Dowie się pani czegoś co rzuci czarną plamę na pamięć zmarłego.

Zof: Tem bardziej chcę wiedzieć.

Miał być moim mężem. Chcę
o nim teraz wszystko wiedzieć.
Cały ten fakt jest dotąd dla
mnie nie wytłumaczoną
zagadką

Dr Bel: Mamy teraz rozwiązanie tej
zagadki. Proszę słuchać. (czyta)
Alfredzie! Nie chcę być przeszkodą
na drodze do Twojego szczęścia.
Usuwam się. Ty bądź szczęśliw-
szym beze mnie. Nie żałuj mnie —
zapomnij! Dziecko nasze, dziecko,
którego ojcem jesteś Ty, pozosta-
wiam opiece Twojej i Twej przyszłej
żony. Jeżeli ona cię kocha,
kochać będzie i Twoje dziecię.
Wychowujcie je i kochajcie.



18 2

90
18
108

38
30
68
x 15
83

108
83
191

